czas. 11049/32/15

ROK ZAŁOŻENIA 1933 (XXXII) LUBLIN 16—31.VIII.1965 Nr 15 (325) CENA 2 ZŁ

Kamena

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

Białystok — Kielce — Lublin — Rzeszów

W numerze m. in.: Anna Achmatowa, Lesław M. Bartelski, Maria Bechczyc-Rudnicka, Janusz Danielak, Zbigniew Kośmiński, Ryszard Liskowacki, Edward Stachura

WIESŁAW SADURSKI

»A pan brat szlachcic?«

PODLASKIE KONFRONTACJE

— Pochwalony...
— A pan brat szlachcic?
— Szlachcic...
— No to — na wieki wieków...

TO, oczywiście, żart, ale podobne rozmowy można jeszcze na Podlasiu usłyszeć. Można także spotkać rodowe herby, stare dokumenty; w niektórych wioskach pow. łukowskiego nadal... utrzymuje się podział na część włościańską i szlachecką. W takich np. Celinach do niedawna było dwóch sołtysów.

— Gdy kilkanaście lat temu przybyłem do Dminina — wspomina inspektor oświaty w Łukowie, p. Bartkiewicz — zdarzało się, że dzieci szlacheckie płakały mi w klasie, jeśli posadziłem je obok włościańskich. Część wsi dosyć długo traktowała mnie z nieufnością, ponieważ moje nazwisko nie kończy się na -ski. Dopiero po wielu „próbach" zostałem uznany. Obecnie podobne rzeczy zdarzają się znacznie rzadziej, różnice między chłopami a „szlachtą" szybko się zacierają, głównie dzięki pracy nauczycieli i silnemu, choć nie zawsze uświadomionemu, działaniu młodzieży. Ale nadal nie można tych spraw lekceważyć. Oto np. spore kłopoty mieliśmy przy budowie szkoły w Gąsiorach, ponieważ zlokalizowana została w ...chłopskiej części wsi!

(Dokończenie na str. 8)

Portret wakacyjny fot. Wojsław Brydak

LESŁAW M. BARTELSKI

Opętanie poezją czyli tajemnica KONSTANTEGO

O, jakież to szczęście być takim poetą, jak Gałczyński...

JAROSŁAW IWASZKIEWICZ

22 MARCA 1946 roku powrócił do kraju po pięciu latach niewoli i prawie rocznym pobycie na Zachodzie kapral z cenzusem Konstanty Ildefons Gałczyński. Statek „Ragne", wiozący repatriantów z Brukseli, przybił do mola w Gdyni. Siwiejący mężczyzna w angielskim battledresie i narzuconej nań czarnej kurtce skórzanej, któremu wiatr rozwiewał włosy wpatrywał się w zarys wybrzeża. Nie musiało mu być wcale lekko. Wracał do swoich najbliższych, to prawda, ale wracał do kraju, w którym całkowicie zmieniły się warunki społeczne i polityczne: komuniści przejęli w Polsce władzę. Przez prawie rok zastanawiał się nad powrotem, nie dawał znaku życia aż go w kraju ogłoszono za zmarłego. W grudniu 1945 roku obiegła kraj wiadomość o śmierci poety. „Tygodnik Powszechny" w numerze z dnia 6 stycznia 1946 roku uczcił pamięć Gałczyńskiego publikacjami jego wierszy oraz artykułem utrzymanym w podniosłym tonie pt. „Poeta z bożej łaski", podpisanym kryptonimem j t i opatrzonym sporą fotografią. Gałczyński wsparty o drzewo trzymał w ręku papierosa i spoglądał w niego. Ale już w tydzień później „Przekrój" podał pewną, bo otrzymaną od żony poety, wiadomość, że Gałczyński żyje! Żyje i wraca niebawem do kraju. Na wyrwanej kartce z książki do nabożeństwa napisał do Natalii swym charakterystycznym zaokrąglającym litery charakterem: „Twój do śmierci i po śmierci".

Autor „Matki Boskiej Stalagów" zaczynał nowy okres życia. Miało mu ono przynieść wielką sławę, ale jednocześnie i wielkie trudności, których na razie, w 1946 roku, nikt nie mógł przewidzieć. Bo Gałczyńskiego po powrocie do kraju przyjęto na ogół dobrze. Stał się niemal bohaterem dnia, sprawiły to jego nowe wiersze, które jak i przed wojną zafascynowały czytelników i zdawało się — by rzecz określić metaforycznie — że wybuchł naraz wulkan poezji. Nawet ci, których drażniły te utwory, którzy wybrzydzali na nie, musieli się przecież z nimi zapoznać, i to był rzeczywisty triumf Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego. Nikt nie pozostawał na jego poezję obojętny. Wywoływała gorące spory i poeta był atakowany prawie ze wszystkich stron, ale miał przecież obok przeciwników i fanatycznych wielbicieli. W okresie, kiedy obowiązywały podziały polityczne, stanął wpół drogi — odszedł od katolików, którzy ciągnęli go na siłę, ówcześni marksiści nie przyjęli go za swego. Przez cały czas istnienia tygodnika „Kuźnica" nie pojawiło się w nim nazwisko Gałczyńskiego, chyba w złośliwym komentarzu. Ostracyzm, podjęty wobec niego przed

(Ciąg dalszy na str. 3)

JANUSZ DANIELAK

ZAMOŚĆ dziwne miasto

Tym razem do Zamościa wybrałem się w niedzielę. To będzie miało wyraźny wpływ na ten reportaż. Nie będzie żadnych oficjalnych stwierdzeń. W niedzielę Ratusz jest wypatroszony. A jeśli jakieś urzędowe osoby udało mi się spotkać nad zamojskim zalewem — to przecież w kąpielówkach nie głosi się mów!

To, co napiszę, opowiedziało mi miasto. Ludzie, domy i ulice. Zapewne, tak kompletując „dokumentację" nazbierałem także mnóstwo plotek. Ale również plotka, choćby zupełnie nieprawdziwa, ma swoje znaczenie. Nie rodzi się bowiem z niczego, lecz wyrasta w jakimś klimacie — z kamienistej gleby miasta — i o nim świadczy, dobrze lub źle. Różnie.

Taki nieurzędowy zwiad ma także inne uroki. Na przykład — językowe. Bo gdybym tak oficjalnie pytał o miejscową osobistość, tę czy inną, to odpowiedziano by, na pewno zgodnie z prawdą, ale jakże nudnie: *„ofiarny działacz, bez reszty oddany sprawie miasta"*.

A w kawiarni:

— *Energiczny gość. Z głową.*

— *Zarozumiały ale ma rację!*

„Z głową" — ale i z dyplomem. Bo pod tym względem zamojska Rada to prawie unikat. Rada, rzec można, utytułowana. Nie, nie hrabiowie i hetmani. Na sześćdziesięciu radnych aż szesnastu z wyższym wykształceniem. Inżynier, magister, inżynier-magister. Pewnie, mógłby ktoś wydziwiać na takich „reprezentantów ludu". Ale byłoby to tylko wydziwianie. I demagogia. Bo po pierwsze — w Radzie także są potrzebni fachowcy, a po drugie — jakoś to się zgadza ze społecznym kształtem miasta. Miasta, które już teraz jest miastem przemysłowym. I miasta, które ma ambicje, by stać się w przyszłości ośrodkiem naukowym, kulturalną stolicą połu-

(Dokończenie na str. 7)

Za dwa tygodnie

Nie znane listy Stanisławy Wysockiej do Emila Zegadłowicza

Księżycowe sojusze

STARE, pożółkłe gazety stanowią bardzo interesującą lekturę. Teraz, w przede dniu dwudziestej szóstej rocznicy tragicznego Września, ze szczególną uwagą przeglądam egzemplarze *„Ilustrowanego Kuryera Codziennego"* pod redakcją Mariana Dąbrowskiego. Oto numer z piątku, 23 września 1938 roku. Tytuł czołówki na pierwszej stronie: *„Kapitulacja Pragi. Po ultimatum Anglii i Francji Rząd czechosłowacki przyjął warunki londyńskie"*.

W środku numeru olbrzymi nagłówek: *„Polska zażąda ultymatywnie zwrotu Śląska Cieszyńskiego w razie oddania Niemcom Sudetów. Narady Hitlera z przedstawicielami Polski i Węgier"*.

Depesza specjalnego sprawozdawcy politycznego *„IKC"* głosi m. in.:

„Kancl. Hitler przyjął we wtorek po południu w swej siedzibie w Obersalzberg koło Berchtesgaden ambasadora R. P. w Berlinie, Józefa Lipskiego, a także przedstawicieli rządu węgierskiego... Jak się dowiadujemy, celem tej wizyty jest przedstawienie kancl. Hitlerowi stanowiska rządu polskiego i węgierskiego w sprawie Czechosłowacji i zadeklarowanie sprawiedliwych roszczeń terytorialnych Polski i Węgier, spełnienie których stanowi istotną część zlikwidowania konfliktu czechosłowackiego".

Komentarze zupełnie zbyteczne. Dodajmy, że w tym samym czasie Lipski udzielał wywiadu znanej francuskiej dziennikarce, Tabouis:

„Ekspansja Niemiec pójdzie w innym kierunku, my jesteśmy bezpieczni. Obecnie, gdy jesteśmy pewni planu Niemiec, los Austrii i Czechosłowacji nas nie interesuje".

Ignorancja? Zadufanie? Lipskiego prześcignął jednak inny polski dyplomata, poseł na Węgrzech, Orłowski, który na pytanie węgierskiego ministra spraw zagranicznych, Kanya'a, czy Polska nie obawia się o losy Gdańska i „korytarza", odpowiedział:

„Tak długo, jak u władzy są Hitler i jego ludzie, niebezpieczeństwo takie nie istnieje. Twierdzę to na podstawie kilkuletniego doświadczenia".

Nie wszyscy mieli wówczas bielmo na oczach. Już w 1936 r. na łamach organu KPP, *„Czerwonego Sztandaru"*, można było przeczytać te słowa:

„Obowiązkiem KPP, partii socjalistycznych i Stronnictwa Ludowego jest poruszyć milionowe masy dla czynnej obrony pokoju, dla zerwania sojuszu wojennego z Niemcami, dla kolektywnego bezpieczeństwa, dla zadzierzgnięcia przyjaźni z Francją, Czechosłowacją i Związkiem Radzieckim...".

KPP nie była jednak partią rządzącą, ba — była partią zepchniętą do podziemia...

* * *

Wiosną 1939 roku przyszła kolej na Polskę. Wystarczyło zaledwie pięć lat od chwili złożenia podpisów pod układem o nieagresji, by Hitler wystąpił z prowokacyjną propozycją w sprawie Gdańska i zbudowania autostrady przez „korytarz".

Brytyjska oferta podpisania wspólnej deklaracji angielsko-francusko-polskiej o łącznym przeciwstawieniu się wszelkiej agresji była przysłowiową brzytwą, której chwyta się tonący. Ale skąd ta nagła metamorfoza Anglii? W pół roku po Monachium tyle bojowości? Wiosenne nastroje?

Odpowiedź w gruncie rzeczy jest prosta. Powołajmy się na Jerzego Kirchmayera:

„Polska była potrzebna mocarstwom zachodnim ze względów politycznych. Powstała obawa, że Polska zagrożona śmiertelnie przez Niemców, wzdragająca się przed współdziałaniem ze Związkiem Radzieckim, opuszczona przez mocarstwa zachodnie, a więc całkowicie osłabiona politycznie i wojskowo, może jak dojrzały owoc wpaść w objęcia Niemiec... Polska... zapewniająca Hitlerowi swobodę działania w kierunku zachodnim mogła znaczyć bardzo dużo. Stąd... różnorakie zobowiązania i obietnice".

W momencie zagrożenia przez Niemcy Polskę wiązał już sojusz militarny z Francją, zawarty jeszcze w 1921 r. W istocie rzeczy był to bardzo mocno zakurzony papierek, bo cóż mógł znaczyć sojusz militarny bez wspólnych planów obronnych?

Z Wielką Brytanią nie wiązało nas nic. Na pięć minut przed dwunastą zawarto w Londynie sojusz polsko-brytyjski, który prasa sanacyjna uznała za *„niesłychany triumf polityki Becka"*. Prasa sanacyjna nie raczyła zauważyć, że Anglią wszelkimi sposobami odżegnywała się od podjęcia jakichkolwiek zobowiązań natury wojskowej i finansowej, m. in. odmówiła udzielenia nam pomocy na Bałtyku. A jeśli już jakieś zobowiązania przyjęła — jak np. to, że w razie hitlerowskiego ataku na Polskę rozpocznie bombardowanie niemieckich obiektów wojskowych — i tak ich w odpowiednim czasie nie zrealizowała.

Churchill próbował to później usprawiedliwiać, pisał w pamiętnikach:

„Rząd francuski zażądał od nas wstrzymywania się od ataków powietrznych na Niemcy, stwierdzając, że spowodowałoby to odwetowe ataki na ich (francuskie) *zakłady przemysłowe, które nie posiadają osłony. Zadowoliliśmy się więc zrzucaniem ulotek, które miały umoralnić Niemcy"*.

Brakowało książeczek do nabożeństwa...

Jeszcze warto odnotować charakterystyczny cytat z *„Dziennika Polskiego"*, 28 sierpnia 1939 r. *„Dziennik"* pisał:

„Francja zmobilizowała 700 000 rezerwistów. W szeregach wojsk francuskich znajduje się obecnie ponad 1 200 000 żołnierzy. Wielka Brytania posiada pod bronią 750 000 żołnierzy... Lotnictwo angielskie jest najpotężniejsze i najbardziej nowoczesne na świecie... Sąsiadka i sojuszniczka Polski, Rumunia, po przeprowadzeniu częściowej mobilizacji ma ponad pół miliona żołnierzy pod bronią. Turcja ma ponad 650 000. Armia turecka jest świetnie uzbrojona i odznacza się wspaniałym duchem bojowym"...

„Dziennik" zapomniał o doskonale wyszkolonej armii marsjańskiej...

* * *

Od sierpnia — września 1939 r. dzieli nas 26 lat. W rzeczywistości nawet więcej — cała epoka. Daleko odbiegliśmy od księżycowych sojuszów. Układ Warszawski stanowi najlepszą rękojmię naszego bezpieczeństwa. W jedno stopiły się narodowa racja stanu i racja stanu polskiej rewolucji.

Debiut

STANISŁAW MIESIKOWSKI

Gdzie...

Gdzie się udam
z płatkiem śniegu topniejącego
w oku

w zadymce
w białej zimowej gorączce
w ostatnim dniu roku

Gdzie się udam
gdy przestanę udawać
urzędnika
metafizyka
poetę

Gdzie się udam
bez mózgu
bez krajobrazu —
z zamkniętymi oczyma

Gdzie się udam
do was kieruję te słowa

* * *

Na zewnątrz
mógłbym się skryć
mógłbym podnieść bukiet róż
mógłbym zastukać w drzewo
ale po co

wracam
tu
gdzie ludzie mówią prosto
co to jest dom
matka
co to jest wartość życia

wracam
tu
zaczym zawisnę w próżni

Białystok

Rówieśnicy*

Waldemar Babinicz jest laureatem tegorocznej państwowej nagrody II stopnia za zasługi w dziedzinie rozpowszechniania kultury. Wiadomość o otrzymaniu nagrody doszła go na urlopie, nad morzem. Autor wywiadu z Babiniczem, zamieszczonego z tej okazji w kieleckim „Magazynie Niedzielnym" z 31.VII.1965 r., reakcję jego na wiadomość o nagrodzie określa słowami: zaskoczenie i radość.

„Rówieśnicy" są dziesiątą książką autora. Za wcześnie, oczywiście, jeszcze na pełną ocenę twórczości Babinicza, trzeba jednak podkreślić jej silny związek z reportażem, z publicystyką. „Listy z parafii", „Złota Woda" czy „Apostołowie" to przecież formy pośrednie między powieścią czy nowelą a reportażem literackim.

Pisarstwo Babinicza silnie tkwi w realiach regionu, którego działaczem kulturalnym jest autor. Kielecczyzna i jej sprawy szeroko pojęte — to tematyka jego książek. Książek, w których od razu widać zaangażowanie autora w pracę społeczno-kulturalną, jego zainteresowanie socjologiczne i publicystyczne.

„Rówieśnicy" to jeszcze nie powieść, to raczej opowieść czy też szkic powieściowy o rodzeństwie — bliźniętach urodzonych pod Sędziszowem 22 lipca 1944 — stąd tytuł; jasny.

Książka jest dokładnie umiejscowiona w terenie, większość akcji rozgrywa się na linii Sędziszów — Kielce. Można nawet powiedzieć, że Sędziszów to obok bliźniąt Szypułków — swego rodzaju bohater książki. Babinicz pokazał w „Rówieśnikach" oprócz losów „bliźniaków" także rozwój Sędziszowa, od wsi do miasta. Utwór zawiera zatem elementy historii czy też socjografii tej miejscowości. Nazwano tu „Rówieśników" bardziej szkicem powieściowym niż powieścią. Uzasadnić to można choćby pewną szkicowością w przedstawianiu bohaterów i ich życia. Mali a następnie dorośli prawie Szypułkowie nie są właściwie w sensie literackim pełnymi, wszechstronnie zarysowanymi postaciami — to zresztą dla celów Babinicza nie jest ważne. Świadomie chciał on pokazać — z konieczności migawkowo — dwadzieścia jeden lat życia pary rodzeństwa urodzonych w dniu przyjętym jako data dzieląca dwie epoki: wojnę odchodzącą i przychodzący pokój.

„Rówieśnicy" to w większej części książki opowieść narratora, potraktowana wspomnieniowo. Tym też można uzasadnić jej jakby migawkowość w pewnych momentach, w innych kwitowanie całych lat krótkim zdaniem. Narrator zresztą ustępuje kilka razy miejsca bohaterom — Szypułkom. Są w książce fragmenty, których narratorami są na przemian brat i siostra Szypułkowie.

Babinicz nie doszukuje się w życiu swoich postaci sensacyjnych wypadków, nie pisze przecież romansu przygodowego. Mimo to codzienność jego książki sama w sobie jest miejscami sensacyjna. Choćby kariera Sędziszowa, rozwijającego się w książce, z dnia na dzień prawie stającego się miastem. Choćby dzieje Szypułków, których ojciec konduktor-entuzjasta, syn analfabety kieruje dzieci wyżej niż sięga jego mentalność. Nie ma zresztą w „Rówieśnikach" zawrotnych karier bohaterów ot, nauka, praca — zwykłe życie.

Na zakończenie wypowiedź czytelniczki i to czytelniczki kieleckiej (cyt. z „Magazynu Niedzielnego"): **Bohaterowie powieści — to przeciętni, młodzi ludzie, wyrośli w nowej Polsce. Dobrze się stało, że tak właśnie kończy się ta powieść. Gdyby autor doprowadził swoich bohaterów do ukończenia studiów, uzyskania dyplomów naukowych, powieść — moim zdaniem — byłaby sztuczna, naciągana. Ostatecznie nie każdemu chłopakowi czy dziewczynie udaje się zajść aż tak daleko. Na to składa się wiele przyczyn. „Rówieśnicy" zaś to książka o przeciętnej młodzieży, tyle, że narodzonej pod znamienną datą".**

Kiedyś literatura sięgała po niecodzienność, zajmowała się niezwykłymi losami niezwykłych postaci — dziś nie stroni od codzienności, zwykłych losów zwyczajnych ludzi. Trudno tego nie dostrzec i trudno nie uznać tego za rzecz cenną; szukając bowiem fenomenów trzeba znać tło, z którego wyrastają.

B. K.

*) **Waldemar Babinicz, Rówieśnicy. Czytelnik 1965.**

przegląd PRASY

REPORTER wybrał się do ziemi sobie nie znanej, do miasta Białegostoku. Pytał ludzi przypadkowo spotkanych na ulicy: co jest największą zdobyczą miasta, największym powodem do dumy, czym mogą się przed obcymi pochwalić? Wreszcie: czego się w swoim mieście wstydzą. Zacznijmy od odpowiedzi na ostatnie pytanie. Okazuje się, że mieszkańcy Białegostoku niczego się nie wstydzą. A inne odpowiedzi? Reporter przytacza ich parę. Jeden mówi: gaz, proszę pana, inni: miasto buduje się z planem, dwie wyższe uczelnie, budownictwo. Ktoś powiedział: czym się tu chwalić? Ta właśnie odpowiedź dała tytuł reportażowi Z. Kwiatkowskiego w ŻYCIU LITERACKIM. Żadna z zanotowanych odpowiedzi nie mówi o jakiejś odrębności Białegostoku. Stąd wniosek reportera:

„Białystok to Polska w skrócie. Polska sprowadzona do przeciętnej". Wszystko, co się w naszym kraju dokonywało, dokonywało się i tu. Przemysł? Proszę: Kraków wzrósł dzięki Nowej Hucie, Białystok też dostał Fasty. Nie ciężki, lekki przemysł, ale przemysł. Nie dwadzieścia kilka zatrudnionych, kilka, ale jednak tysięcy. Nowoczesny zakład.

Szkolnictwo? Dwie wyższe uczelnie, jedna już z tradycją, druga wkracza w drugi rok pracy, ale obie potwierdzają tendencję powszechną (...) Na Białostocczyznę dociera fala spłaszczona. Mimo zbudowania Fastów Białystok nie stał się miastem wyłącznie przemysłowym, mimo zorganizowania Akademii Medycznej czy Wyższej Szkoły Inżynierskiej nie zmienił się w ośrodek naukowy, mimo żywego ruchu budowlanego, nikt nigdzie nie nazwał Białegostoku „zagłębiem budowlanym".

Czy zresztą trzeba Białystok za to winić? Odrębności wykształcą się z czasem. Tym bardziej, że miasto to (pisze o tym autor reportażu), ciągle rozwija się, ma ambicje i ambitnych działaczy, liczy przede wszystkim na siebie.

A oto inna przygoda reportera. Opisuje ją R. Smożewski w felietonie „O godzinie 3 rano" (MAGAZYN NIEDZIELNY). Powrót świtem do Kielc. Po drodze **„dopadliśmy długi senny wąż chłopskich wozów... wozy ciągnione przez wolno człapiące konie, z ludźmi skulonymi od chłodu"**. Po co i dokąd jadą — jarmark, odpust?

„Właściciele furmanek załadowanych czereśniami, drobiem i warzywami pochodzili z wiosek położonych za Szydłowcem ...Jechali na jarmark do Skarżyska. Domy opuścili przed drugą w nocy: mieli do przebycia blisko 30 kilometrów. W Skarżysku zjawią się raniutko, muszą zająć dobre miejsca, jak stwierdził jeden z nich „handlowe miejsca". W domu na powrót będą wieczorem".

Mniejsza z tym, ile utargują, co kupią. Problem tkwi gdzie indziej: że nie ma kto kupić od chłopa tego, co ma on do sprzedania, na miejscu. Nikt nie wyręcza chłopa w sprzedaży drobnicy. Spółdzielczość wiejska umie już sprzedawać, nie umie kupować. Pewnie — przyszłość jakoś to rozwiąże.

R. Smożewski kończy swój felieton nieco melancholijnie: **„Może nawet nie trzeba się niecierpliwić. I pewnie nie napisałbym na ten temat felietonu, gdyby nie uderzył mnie ten sznur sennych wozów chłopskich, wolno pełznących u progu dnia. Było w tym coś anachronicznego"**.

T. K.

Opętanie poezją czyli tajemnica KONSTANTEGO

(Ciąg dalszy ze str. 1)

wojną przez kręgi „Wiadomości Literackich", obowiązywał — jak się okazało — także i w Polsce Ludowej. A przecież Gałczyński w istocie należał do ludzi, którzy nie mieszczą się w żadnym ustalonym porządku społecznym i którym nieco za ciasno w świecie. Nie mieścił się również w ustalonych kategoriach literackich. Ani ze Skamandra, choć mu najbliższy chyba, ani z Awangardy, zaś powiązania z Kwadrygą były raczej natury towarzyskiej niż artystycznej. Świat go dławił, usiłował nie tyle walczyć z nim, bo nie miał usposobienia rewolucjonisty, lecz przemieniać go za pomocą poezji. Podpatrując życie, starał się na różne sposoby je udziwniać. Dlaczego? Nie podobało mu się ono po prostu, było jakieś małe, szare, nie przystające do jego wyobrażeń, próbował je poszerzyć o swoją fantazję. I to mu się udało jak rzadko komu.

Jego bunt przeciw światu zaczął się jeszcze w okresie młodości. Umiał wytworzyć wokół swego życia legendę i to od początku wejścia w środowisko literackie. Na uniwersytecie wygłosił w Kole Literackim odczyt pt. „Morris Gordon Cheats czyli plagiatorzy spod znaku Skamandra", uzupełniony „przekładami" wierszy, dokonanymi przez niego. Rozpatrywał w nim życie i twórczość poety szkockiego z XV wieku, autora szeregu ballad, których dokonał analizy, powołując się na różnych krytyków. Tyle, że *cheat* po angielsku to znaczy oszukiwać, kpić. Do studentki filologii, której udzielał korepetycji z angielskiego, chodził zawsze w czarnej pelerynie, niebieskich okularach i z gumowym cygarem w ustach. Przynosił do niej konia, który pito z czystych kałamarzy, studentka bowiem mieszkała jako sublokatorka i bała się zrazić swoich gospodarzy prośbą o kieliszki. Do wojska i jego koszarowego drylu nie mógł się przyzwyczaić, najwięcej czasu spędzał w pace lub w szpitalu. Na pytanie: „*Co to jest karabin?*", elew Gałczyński odpowiadał z niezmąconym spokojem: „*Narzędzie szatana!*" W tych wszystkich wystąpieniach przejawiał się jego bunt wobec świata. Nie pragnął go zburzyć, lecz czekał na jego koniec. Nie pragnął go wcale zmienić, ale go wyśmiewał. W poetyckiej wizji świętego Ildefonsa cieszył się z jego upadku. Kochał go na swój sposób, bo udziwnianie świata w jego wierszach to próba nadania mu barwy.

Od początku swej działalności pisarskiej intrygował swoją osobą, a kiedy wypłynął na szersze wody, niemal każdy jego krok był komentowany w prasie. Musiał się doskonale bawić tymi wywoływanymi przez siebie opiniami. Fascynował swoją postacią jak fascynował swoją poezją. Na co dzień jednak był poważny, skupiony i prosty. Często zamyślał się, mówił monosylabami. I pracował. Bo wbrew wszelkim pozorom był niesamowicie pracowity, całe bogactwo jego poezji, ornament, którym ją przystrajał, powiązanie z malarstwem czy muzyką, wypływało z jego nieustannego kształcenia się. Nie ukończył wprawdzie uniwersytetu, gdzie studiował filologię klasyczną i anglistykę, po prostu dlatego, że uczył się dla siebie i jak pisze przyjaciel z tamtych lat, Aleksander Maliszewski — zawsze jakoś nie tego, co potrzebne było do egzaminu. Zainteresowania jego sięgały na pewno szerzej, niż wymagał tego program studiów. Bywał na wykładach, brał udział w pracach seminaryjnych, napisał piękną rozprawę o Johnie Keatsie, do której dołączył własne przekłady, ale na egzaminach nie pojawił się. Może zaciążyła nad tym atmosfera rodzinnego domu, który zawsze wspominał bez życzliwości? Może dlatego tak sławi dom w swoich wierszach, tak podkreśla jego potrzebę w swoim życiu, że zabrakło mu go w dzieciństwie i młodości? Po 1929 roku, kiedy spotkał Natalię o twarzy z bizantyjskich ikon, słowa „*dom*", „*żona*" stają się dla niego synonimem szczęścia. Zaś satyra na wszechświat pt. „*Koniec świata*" zostanie zastąpiona przez takie utwory jak „*O naszym gospodarstwie*" czy „*Opis domu poety*". Drwinę ze świata uzupełni jego wspaniała liryka, która Bolesława Micińskiego, eseistę a także poetę, skłoniła do napisania głośnego artykułu, zakończonego zdaniem powtarzającym się trzykrotnie, „*Pochylmy się nad wierszami Gałczyskiego*".

To głównie on przyczynił się do wzrostu sławy i popularności poety. Więcej może sławy i znaczenia, bo Gałczyński był już wtenczas popularny, chociaż poza tomikiem, zawierającym „*Koniec świata*", nie miał wydanego zbioru wierszy. Domagali się tego w liście wysłanym do czasopism literackich Józef Czechowicz, Henryk Ładosz i właśnie Bolesław Miciński. Tom taki Gałczyński przygotował, składał w paru wydawnictwach, gdzie wszędzie żądano opłaty za druk lub wręcz odrzucano, aż wreszcie znalazł się ryzykant, który przyczynił się do opublikowania tomu, nic na tym nie tracąc, a zyskując sobie poetę. Był nim Stanisław Piasecki, rzutki i inteligentny redaktor nacjonalistycznego tygodnika społeczno-literackiego „*Prosto z mostu*", który starał się skupić wokół pisma grono piszących, kokietując szczególniej pisarzy chłopskich. Gałczyński piszący w wierszu „*Muzie nóżki całuję*" wręcz: „*pluń, gdzie komuna, sanacja i endecja*", wszedł w oddziaływanie ideologii, do której nie miał chyba większego przekonania. Wyznanie, jakie składał w tym wierszu, że

Tylko ona cię zbawi, przeklęta
i jedyna —
i na gwiazdy wyprawi, rytm święty,
mowa inna
poezja

było bezsprzecznie prawdziwe. Ale też pisał:

Rannyś? Ten świat jest borem,
rąbaleś bór toporem,
toś się i zaciął.

„*Przyziemne, drobne troski były i są często udziałem poety i artystów w ogóle. Młody poeta Gałczyński poznał ich gorycz w sposób szczególnie przykry* — podawał we wspomnieniach jego przyjaciel, znany rysownik i karykaturzysta Jerzy Zaruba. — *Faktem jest, że i ówczesne, »Skamander« i »Wiadomości Literackie«, jedyne pisma, które mogły i powinny były drukować Gałczyńskiego stale odrzucały jego wiersze. Dziwne to było i sądzę, że obydwie te redakcje odegrały smutną rolę z gorliwością godną lepszej sprawy. Czyż nie to właśnie stało się przyczyną, że poszedł on do tygodnika »Prosto z mostu«, a rozgoryczony dał się uwieść korporanckim niemal hasłom. Okrzyczano go potem ONRowcem. Ale on nigdy nim nie był. Nigdy. Mówiłem z nim na te tematy nieraz. Wszelkie sekciarstwo było mu obce i obojętne. Książę poezji polskiej miał raczej pogardę dla tego całego rozgadanego jarmarku politycznego*". (Z tomu „Wspomnienia o Konstantym Ildefonsie Gałczyńskim", znakomicie opracowanego przez Annę Kamieńską i Jana Śpiewaka, wydanego w 1961 roku przez „Czytelnika").

Już przed wojną Gałczyński i jego poezja wymykali się wszelkim szablonowym formułkom i określeniom. Życzliwy mu Czechowicz nazywał go Paganinim. Zawodziński, czołowy krytyk Skamandrytów, określił go jako „*wesołego dekadenta à la russe*". Zestawiano go z Jesieninem, do czego przyczyniał się legendą swego cygańskiego życia.

Krytyka przedwojenna właściwie nie potrafiła zdefiniować cech jego twórczości, nie miał do niej szczęścia, Miciński i Wyka byli wyjątkami, potwierdzającymi regułę. Zaczęło się to, czego mieliśmy być świadkami po wojnie — popularność, sława i znaczenie Gałczyńskiego wzrastały przy

obojętności, o ile nie wręcz wrogości krytyki. Tym, który zdecydował o uznaniu poety, był bezpośredni adresat — wierny czytelnik. Jeśli nawet sprzeczał się o niektóre utwory, jeśli nawet protestował, wykazywał tym najlepszy dowód zainteresowania i chęć zrozumienia tej poezji.

Nie bez znaczenia był fakt, że w 1946 roku Gałczyński związał się z popularnym „Przekrojem". Zaczynał dzień od lektury „Wyznań" świętego Augustyna, a kończył wierszem lub „Zieloną Gęsią". Bo po latach przymusowego milczenia, kiedy spod jego pióra wyszło zaledwie parę uworów jak „*Pieśń o żołnierzach z Westerplatte*" czy „*List jeńca*", mógł wreszcie tworzyć. A cóż mogło być dla niego ważniejsze? Były Kriegsgefangener Nr 5700 ze Stalagu XI A w Altengrabow stawał się poetą nowego społeczeństwa, ukształtowanego przez wojnę, przemiany rewolucyjne, wielką migrację ze Wschodu na Zachód, budującego w trudzie swe życie i szukającego siebie. A on odnalazł nareszcie — po tylu latach pisania — przeszło czterdziestoletni swoje miejsce. Nic więc dziwnego, że przyznawał „*Za początek mojej twórczości dojrzałej uważam rok 1946*".

Te siedem lat powojennych, zarówno tłustych, jak i chudych, przyniosły więcej utworów, i to rzeczywiście wspaniałych aniżeli cała dotychczasowa działalność pisarska Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego. Nie ma, oczywiście, najmniejszego sensu dzielić tej poezji na przed i powojenną, stanowi bowiem ona zdumiewającą jedność, chociaż przesunęły się pewne akcenty i zmienił kształt świata. Za to nie zmieniły się środki jego poezji, możność swobodnej pracy, przynajmniej zaraz po powrocie, życzliwość ze strony pewnych ludzi, zaciekawienie czytelników i wyczekiwanie na utwory poety, pozwoliły mu na pełne rozwinięcie niepospolitych zdolności i przyczyniły się do rozwoju jego talentu. Chyba po raz pierwszy w życiu czuł się szczęśliwy, bo pisał nie dla koterii czy klik literackich, nie dla „impresaria", którego nienawidził i o którym wyrażał się z pogardą, lecz dla szerokich mas czytelniczych. Czuł potrzebę kontaktu z nimi, jego wieczory autorskie były popisami jego umiejętności aktorskich. Wynosił z nich przekonanie, że jest potrzebny. „Czeladnik od Kochanowskiego" przejmował od wybranego przez siebie mistrza postawę obywatelską i nią jednał pod koniec swojego życia czytelników. Dla nich tworzył. Był gwałtowny w swym geście poetyckim, nieomal patetyczny, ale patos ten nie miał w sobie nic z oschłości, surowości czy pozy, tkwił bowiem głęboko w liryzmie i poprzez ten namiętny pełny życia gest, z jakim przyzywał ku sobie poezję Gałczyński, nabierał artystycznego kształtu.

Opętanie poezją? Niewątpliwie. Było w tym geście coś ze sztuki prestidigitatora lub średniowiecznych comprachicos, stroiących twarz w drwinę i tym samym rozweselających słuchaczy. Umiał bawić, ale przede wszystkim umiał wzruszać. Czyniło to wielu poetów przed nim, i czynić będzie wielu po nim, dlaczego on właśnie zaskakiwał czytelnika? Miał tę wielką zdolność, że czegokolwiek się dotknął, przemieniało się w poezję. Decydował o tym język i jakaś bezpośredniość uczuć.

Marzyciel i romantyk w pospolitym tego słowa znaczeniu, nie literackim, skupiał w sobie wszelkie cechy charakteru narodowego. Polacy lubią obchodzić święta narodowe i przepisy prawne. Gałczyński rozumiał to doskonale i z tym walczył. Lecz krytykując współrodaków, w istocie krytykował siebie. Dlatego też te jego ataki satyryczne były takie trafne i bliskie wszystkim, jak bliska wszystkim była jego liryka, „*tkliwa dynamika, angelologia i dal*". Decydował o dotarciu do czytelników język jego utworów — bogaty, przechodzący aż w barok, a jednocześnie jakby wzięty dosłownie z codzienności, dziwny, przepojony tkanką niezwykłości, a przecież prosty. Bardzo poetycki i zarazem bardzo zrozumiały. Coś z poezji jarmarcznej, którym to określeniem zwalczali młodego Mickiewicza pseudoklasycy. W dwudziestoleciu międzywojennym tylko dwóch poetów operowało tego rodzaju językiem — Julian Tuwim, który poszerzał „*ojczyznę-polszczyznę*" i bliski mu w tym (i nie tylko w tym) zakresie Konstanty Ildefons Gałczyński. Podobieństw tych znalazłoby się więcej, obaj pisarze na swój sposób przełamali dotychczasowy język poezji, jego literackość na rzecz poszerzenia jego znaczeń, przejmowanych z codzienności, jednak nie wulgaryzując, ani też nie prozaizując. Ich właśnie utwory cieszyły się największym wzięciem u publiczności.

Tradycjonalny, a nawet staroświecki, o postawie niemal trubadura, był zarazem bardzo nowoczesny. Ujawniając i ukazując nonsens w naszym życiu, nasycając go poezją, zbliżał się w tym do nadrealistów, może nawet zupełnie nieświadomie. Pisząc o Gałczyńskim w 1946 roku, kiedy ukazał się tom jego „Wierszy" nakładem Oficyny Księgarskiej, starałem się podkreślić te powiązania. Podstawą filozofii francuskiego nadrealizmu jest opozycja wobec losu, nieprzyjęcie warunków istnienia. Reagować można dwojako. Albo tragicznym rozdarciem rąk w patetycznym geście, albo pokazywaniem języka i strojeniem grymasów. Gałczyński połączył jedno i drugie, dając obrazy tylko z pozoru rozwichrzone, w istocie rzeczy podporządkowane ściśle wewnętrznej logice utworu. „*Poezja Gałczyńskiego narasta warstwicowo* — pisałem wtenczas. — *Składa się na nią czysta liryka o najprostszych stanach uczuciowych, zakończona pointą, niemal — skamandrycką i groteska, która jest świadectwem bolesnego rozdarcia człowieka, znającego prawdę, lecz wstydzącego się wyrażać ją wulgarnie i banalnie. I dlatego to sterowanie Gałczyńskiego pozornie ku dziwactwu ma swoje głębsze uzasadnienie. Jest to poszukiwanie nowych dróg wyrazu przy jednoczesnym zachowaniu pewnych klasycznych kanonów sztuki poetyckiej. Ostatnie wiersze, jak »Kolczyki Izoldy«, świadczą dobitnie o próbie stworzenia przez Gałczyńskiego nadrealizmu. Trzeba ten utwór usłyszeć, aby dopiero móc wyśledzić te warstwy wzruszeniowe, z jakich się składa. To jest majstersztyk poetycki, przekonujący — być może nie każdego — siłą poetyckiego wyrazu. Poprzez stany arealne Gałczyński uwypukla tragedię i bohaterstwo warszawskiej dziewczyny, walczącej o wolność w czasie Powstania. W pryzmacie codzienności, w odczuwaniu ludzi prostych i wulgarnych, w chórze żołnierzy i dziwactwach, jakie kryją się w tym wierszu, narasta silny obraz poetycki. Jakżeby można było łatwo po or-otowsku uronić łezkę nad grobem dziewczyny! Ale »Kolczyki Izoldy« przenikają głębiej. Tkwią w podświadomości i wrastają w społeczeństwo. To nowy hymn, nowa »Warszawianka«, bez prymitywnych łez i patosu*" („Dziś i jutro", nr 48 z 5 grudnia 1946 r.).

Trzeba ten utwór usłyszeć... Tak, gdyż Gałczyński budował swoje wiersze polifonicznie, wzorując się w swej kompozycji na muzyce. Stąd melodyjność tej poezji i wielkie jej walory estradowe. Sam poeta lubił występować i recytował znakomicie. Miał wielki urok osobisty, który ujawniał się zwłaszcza przy zetknięciu z życzliwym audytorium. Jego twarz, przypominająca z wyrazu maskę wesołego satyra, z ciepłym błyskiem w kącikach figlarnych oczu, piękniała naraz i stawała się — bez przesady — natchniona. Umiał narzucić sali swoją poezję i przeżywał te wystąpienia, przykładając do nich dużą wagę, zarazem szczęśliwy, że nawiązuje kontakt ze słuchaczami. Nie pisał „do szuflady", pisał dla czytelników. Tym można, poza kiepskimi warunkami, tłumaczyć jego milczenie w okresie wojny. Warunki jeńca i zamknięcie w obozie nie sprzyjały poezji, chociaż wiele spostrzeżeń z tamtego okresu i wielu napotkanych wtenczas ludzi przejdzie na karty jego poezji. Gałczyński był twórcą, który niesłychanie silnie przeżywał styczność z czytelnikami. Nie ukrywał swojej radości

(Dokończenie na str. 10)

MARIA BECHCZYC-RUDNICKA

W klimacie dobrej woli

Dziwne bywają skojarzenia różnych czynności i zdarzeń. Kiedy w roku 1946 (a może nawet 1945?) rozpoczął Jan Parandowski w Lublinie kilka akcji zmierzających do reaktywowania Polskiego Klubu Literackiego PEN, w czym mu w miarę moich skromnych kompetencji pomagałam, któż by wówczas pomyślał, iż to zaszczytne współdziałanie zaprowadzi mnie po dwudziestu latach, w lipcu br., do Bled, w Julijskich Alpach.

Muszę się przyznać, że niemal w przeddzień wyjazdu nie umiałam jeszcze osadzić nazwy BLED w ściślejszym kontekście geograficznym, choć podobno figuruje ona już w datowanym rokiem 1004 akcie darowizny cesarza Henryka II na rzecz biskupa Albuina brixeńskiego! Ale o tym dowiedziałam się dopiero na miejscu, bo ani mapy turystycznej Jugosławii, ani żadnego przewodnika po tym przyjaznym kraju nabyć w Polsce dzisiaj nie sposób.

Teraz już wiem o Bled sporo. Nie tylko z autopsji, lecz i z ciekawej broszurki, wzorowo opracowanej przez miejscowe Turistično društvo.

Okazuje się więc, że wspomniany biskup Albuin otrzymał niebawem od cesarza również i zamek na wysokiej skale z dobrodziejstwem bel-vedere'u, czyli praktycznie — rozległej widoczności warownej. Nawiasem mówiąc, przy odrobinie fantazji można sobie wyobrazić poruszenie wywołane wtedy tym doniosłym lokalnie faktem w włoskach rozsianych dokoła jeziora, w którym — że użyję języka propagatorów turystyki — zamek dumnie się przegląda. Dane historyczne zgrabnie przytoczone w broszurce niewątpliwie wywołują u przybysza emocjonalny oddźwięk, choć dzisiaj, po wielu przemianach dziejowych, po dwóch potężnych trzęsieniach ziemi i po kilkakrotnych renowacjach, nieraz nie mniej radykalnych, malowniczo położony zabytek zachował chyba raczej luźne podobieństwo do niegdysiejszego bastionu feudalnego. Skwapliwie odnowiony, staraniem władz municypalnych, zamek mieści obecnie w jednej swej części zbiory archeologiczne i etnograficzne, w drugiej — restaurację i nocny lokal przystosowany do zapotrzebowań nowoczesnego turysty.

A trzeba powiedzieć, że właśnie turystyka jest osią, dokoła której kręci się światek uroczego uzdrowiska. Od przeszło stu lat Bled szczyci się obok efektownego widoku na ośnieżone szczyty, obok innych wdzięków strefy przyalpejskiej — również naturalnym ciepłym źródłem, co tryska akurat pod najbardziej reprezentacyjnym hotelem, gdzie najtańszy pokój jednoosobowy z utrzymaniem kosztuje dziennie 6 dolarów.

Cudzoziemca z mocną walutą spotyka w Bled szczególna atencja, ale również skromniejszy kuracjusz bądź podróżny jest mile widziany. Poza luksusowym hotelem Toplice są możliwości tańszego urządzenia się w jednym z kilkunastu innych komfortowych hoteli lub w prywatnych pokojach, których cena nie przekracza dolara od osoby (oczywiście, bez utrzymania). Nad morzem np. w takiej Opatiji, zapłaci się dwa razy tyle.

Czy latem, czy zimą turysta nie ma w Bled czasu na nudę. Nie pozwalają na nią polowania, rybołówstwo (uwaga wędkarze — sezon od 1 maja do 31 grudnia!), różnorakie sporty, koncerty zawodowe, no i obfite popisy folklorystyczne. Można tu zobaczyć i usłyszeć nie tylko zespoły miejscowego regionu i stolicy Słowenii, Ljubljany, nie tylko z Zagrzebia czy Belgradu, ale i z Salzburga, i ze Związku Radzieckiego, ba — z Brazylii i USA... Gdy dodamy mnogie międzynarodowe konferencje i turnieje, łatwo będzie się domyślić iż pojemna sala nowoczesnego pawilonu festiwalowego jest wykorzystywana niemal w stu procentach.

W tej oto Sali Festiwalowej obradował w lipcu XXXIII Kongres Międzynarodowej Federacji PEN-Clubów, który stał się bezpośrednim powodem mego pobytu nad mało u nas znanym jeziorem Bled. Trudno byłoby o szczęśliwszy wybór miejsca na zgromadzenie pisarzy z całej kuli ziemskiej w momencie, kiedy świat doznaje tyłu niepokojów. Z dala od zgiełku wielkich metropolii, w miejscowości par excellence wypoczynkowej, dysku sje o pryncypiach i formach określając częstokroć postawy dość rozbieżne były zarazem nacechowane szczerą gotowością poszukiwania wspólnych kryteriów. Działo się w myśl Karty leżącej u podstaw Międzynarodowego PEN-Clubu, jeden bowiem z passusów tego składu zasad brzmi: *„Członkowie Federacji będą stale używali wpływu, jaki może wywierać ich osobowość i pisarstwo — na rzecz dobrego porozumienia i wzajemnego szacunku narodów; zobowiązują się oni czynić wszystko, co jest w ich mocy, dla likwidowania nienawiści rasowych, klasowych i narodowych i dla realizacji ideału ludzkości żyjącej w świecie pokoju i jedności".*

Zaiste mrs. Dawson Scott, wielka humanistka, która natchnęła 43 lata temu Johna Galsworthy'ego inicjatywą założenia takiej federacji ludzi pióra (PEN) — poetów, eseistów, powieściopisarzy (poets, essayists, novelists) — mogłaby dzisiaj być zaskoczona ogromnym sukcesem swej idei. Obecnie Federacja PEN liczy 78 ośrodków 58 krajów, zrzeszających ok. 11.000 pisarzy. Na kongres w Bled przybyło ponad 450 osób — delegatów i zaproszonych gości. Po raz pierwszy w obradach penclubowych wzięła udział grupa obserwatorów radzieckich, w której znaleźli się m. in. szeroko znani pisarze Leonid Leonow i Aleksy Surkow.

Patronat nad kongresem bledzkim objął Josip Broz-Tito. Reprezentujący Prezydenta FSR Jugosławii — Rodoljub Colaković powiedział m. in. na uroczystym posiedzeniu inauguracyjnym:

„Zebraliście się tutaj jako przedstawiciele waszych narodów, by rozważyć problemy interesujące nie tylko ścisły krąg literatów, ale i wszystkich tych, dla kogo piszecie... Przy takich oto sposobnościach, w klimacie tolerancji, kiedy słyszy się zdania rozbieżne, a usiłuje przynajmniej je zrozumieć, jeśli się ich nie akceptuje, — w takich właśnie okazjach można uzyskać bardziej obiektywny obraz świata i dostrzec głębokie więzy łączące narody niezależnie od różnicy instytucji, tradycji, szczebla cywilizacyjnego i kulturalnego. Każdy naród ma przed sobą własne zadania, zakreślone specyficznymi cechami jego egzystencji, lecz wszystkie narody jednakowo pragną żyć w pokoju, wolności, w atmosferze kulturalnej, czyli żyć życiem godnym człowieka".

Słowa te znakomicie utrafiły w ton Karty PEN-Clubu.

Troska o losy ludzkości przepajała również przemówienie Leonida Leonowa.

„Pozostawiamy — powiedział — nasze dzieci i wnuki w świecie podminowanym (...) Epigrafem do naszej epoki mogłaby być anegdota o człowieku, który w czasie artyleryjskiego ognia wychylił się z okopów wołając: „Co wy robicie, przecie tu są żywi ludzie!"

Mówca podkreślił z przejęciem, że niezależnie od wojen wstrząsających całym światem, Rosja stała się na wiele lat laboratorium wulkanicznego typu, biorąc na swe barki gorzkie ryzyko ogromnego eksperymentu historycznego. *„Wycisnęło to piętno na życiu duchowym i na literaturze mego kraju"* — zakończył Leonow. Literatura radziecka jest zaangażowana, idee mają w niej pierwszeństwo przed formą.

Problem do rozważenia zaproponowany w programie kongresu brzmiał: *„Pisarz a współczesne społeczeństwo"*. Jest to temat przypominający po trosze szkatułkę, wewnątrz której znajdują się coraz mniejsze pudełka, a na końcu — klocek nie dający się otworzyć. Najbardziej prymitywne, „zewnętrzne", że tak powiem, pytanie w zakresie tego tematu: *czy pisarz ma obowiązek odtwarzać współczesną rzeczywistość i ją kształtować* — wygląda w świetle cytowanej wyżej Karty PEN-Clubu na pytanie retoryczne, albowiem wszystkie jej punkty nakazują członkowi Federacji czynną postawę wobec społeczeństw całego świata. Wolno tedy chyba twierdzić, iż nawet te wypowiedzi kongresowe, które nie deklarowały o b o w i ą z k ó w w stosunku do społeczeństwa, jednakże w gruncie rzeczy ich nie negowały będąc ostentacyjną deklaracją p r a w pisarza, niejako jego obroną przed zbyt obcesowym „zamówieniem społecznym".

W wielu wypadkach chodziło o zaakcentowanie subtelniejszych związków dzieła literackiego z rzeczywistością niż doraźna aktualność.

Następną w logicznej kolejności kwestię nasuwały pytania: *czy literatura ma dzisiaj znaczenie większe czy też mniejsze niż dawniej? Czy rola pisarza w społeczeństwie wzrosła czy zmalała?*

W niektórych głosach dały się słyszeć akcenty niepokoju o losy słowa pisanego, wywołane z jednej strony skłonnością nowoczesnych nurtów literackich do hermetyzmu, z drugiej zaś technicznymi środkami upowszechniania sztuki.

„Technika upowszechniania — mówił nowo wybrany prezes Międzynarodowej Federacji PEN-Clubów, znakomity dramaturg amerykański, Artur Miller — *może oddalić pisarzy od własnych norm wartości"*. ...Wprawdzie literatura przestała być dostępna wyłącznie elicie, wprawdzie dzięki radiu i telewizji pisarz uzyskuje wpływy społeczne i polityczne, ale zarazem w tej naszej epoce organizowanych dla rzesz rozrywek masowe środki przekazu koncentrują uwagę nie na istotnych walorach dzieła. Wszelkie wywiady i reportaże przeważnie zniekształcają zjawiska literackie...

Jedna z najbardziej optymistycznych replik na obawy szeregu mówców dał Michał Rusinek opowiadając o powodzeniu, jakie mają w miastach, miasteczkach i wsiach polskich spotkania pisarzy z czytelnikami.

Analogiczne dane z terenu Bułgarii przytoczyła Anna Kamenova. Mówiła ona z entuzjazmem o młodzieży, która wypełnia sale publiczne na wieczorach poezji niemal bezpośrednio po wyjściu z biura czy fabryki. Otóż doszło do tego bynajmniej nie na skutek „komercyjnego lansowania", jakie stosują impresarii, lecz właśnie dzięki pracy radia i telewizji, które dają do wyrobienia w masach smaku artystycznego.

Z zimną krwią podszedł do kłopotów naszego stulecia wybitny powieściopisarz francuski, Claude Aveline, przewidując w dowolnym przemówieniu zastąpienie cywilizacji „drukowej" cywilizacją audiowizualną.

Do bardzo nobliwych akcentów kongresu, stwarzających właściwy klimat należało zagajenie obrad przez Jana Parandowskiego w czwartym dniu, kiedy to prezes Polskiego PEN-Clubu, zarazem wiceprezes Międzynarodowej Federacji, objął przewodnictwo.

Równolegle z zebraniami plenarnymi odbywały się przy tzw. „okrągłych stołach", w małych grupach zebrania, na których debatowano nad zagadnieniami ściśle literackimi, jak istota niekomunikatywności, przenikanie do literatury mowy potocznej itp. (ostatni temat był również tematem dyskusji na seminarium UNESCO, udostępnionym wszystkim uczestnikom kongresu). Gdyby nie stanowczo wadliwy układ godzin, pomysł zorganizowania „tables rondes" spotkałby się na pewno z powszechnym aplauzem. Jest rzeczą jasną, że międzynarodowe spotkania pisarzy nastręczają naturalnych okazji do wymiany poglądów na rozliczne kwestie warsztatowe. Jednakże analizy te nie powinny zbytnio absorbować uwagi delegatów na p l e n a c h PEN-Clubu, których główne zadanie stanowią problemy postawy ideowej i moralnej pisarza wynikającej z Karty Federacji. Wydaje się, iż na tym właśnie polega specyfika kongresów penclubowych.

Wzorowym pod tym względem zgromadzeniem był XI Kongres w Dubrowniku, w r. 1933, na którym w myśl zasady sprawowania opieki nad dziełami sztuki — wspólnym dobrem ludzkości — potępiono energicznie poczynania nazistów. Toteż sądzę, że do najważniejszych postanowień XXXIII Kongresu w Bled należy zaliczyć uchwały potwierdzające wierność członków Federacji jej Karcie. Takim potwierdzeniem była rezolucja, którą zacytuję w skrócie:

„Na wiadomość o nowych represjach, których ofiarami są przedstawiciele literatury hiszpańskiej i portugalskiej, XXXIII Międzynarodowy Kongres PEN-Clubów protestuje jednomyślnie przeciw niebywałym aktom gwałtu, jakim są systematycznie poddawane trzy literatury iberyjskie! stowarzyszenie zawodowe pisarzy portugalskich zostało rozwiązane za to, że wykorzystało przysługujące mu prawo przyznania nagrody jednemu z dzieł literackich; język kataloński pozbawiono prawa publikacji; profesorowie hiszpańscy są zagrożeni dymisjami...

Międzynarodowy PEN-Club solidaryzuje się z intelektualistami kastylijskimi, katalońskimi i portugalskimi, którzy pozostali wierni zasadzie wolności słowa i popiera ich wysiłki zdążające do tego, by władze respektowały podstawowe prawa swobody należne twórcom".

W sumie niewątpliwie drugi, udatny kongres Międzynarodowej Federacji PEN na terenie Jugosławii! Poważne wyniki obrad, zacieśnienie przyjacielskich więzów między pisarzami całego świata, no i świetne samopoczucie uczestników, zawdzięczane serdecznej gościnności gospodarzy, pięknej oprawie naturalnej oraz ofiarnym działaniom Komitetu Organizacyjnego z prezesem Słoweńskiego PEN-Clubu, Matejem Borem, na czele.

ANNA ACHMATOWA

Stosunek do mojej ojczyzny

— Nie byłam w Europie od roku jedenastego. Zresztą Anglii i przedtem nie znałam. Moje ówczesne wrażenia w porównaniu z obecnymi...

— Przede wszystkim — jak zmienił się od tego czasu stosunek do mojej ojczyzny. Wtedy przecież zapytywano mnie poważnie w Paryżu: „Czy można do Rosji dostać się drogą lądową?" albo „Czy to prawda, że w Rosji wszystkie kobiety noszą sarafany i kokoszniki?" A pewien paryżanin oświadczył mi wtedy z dumą: „Znam waszego najlepszego pisarza". „Kogo mianowicie?" — zainteresowałam się. Odpowiedział mi: „Arcybaszewa". Rozmowę tę odbywałam w czerwcu 1910 roku i Lew Nikołajewicz Tołstoj żył jeszcze wtedy. O tym, żeby spotkać Francuza mówiącego po rosyjsku wówczas nie można było nawet marzyć.

A teraz, kiedy przejazdem zatrzymałam się w Paryżu tylko na trzy dni, zdążono mi np. pokazać zadanie egzaminacyjne dla studentów Sorbony, gdzie trzeba było przetłumaczyć na francuski kawałeczek mojej prozy o Amadeuszu Modiglianim. Wspominam właśnie o tym fakcie, dlatego tylko, że nic rozporządzam innymi. W średnich szkołach francuskich język rosyjski jest teraz przedmiotem obowiązkowym.

W n-rze 130 „Kurortnej Gazety" w Jalcie (z dn. 4.VII. br.) zamieszczono wywiad Michała Olszewskiego ze znakomitą poetką Anną Achmatową, która wróciła do Moskwy z Anglii w dniu swych urodzin (ukończyła 76 lat). Uniwersytet w Oxfordzie w końcu ub. roku przyznał jej stopień doktorski „Honorary degree". Właśnie teraz odbyły się uroczystości wręczenia jej dyplomu.

A kiedy czarowną, rozkwitającą spóźnioną wiosną jechaliśmy przez Zachód do Brytanii, dziwiłam się, jak serdecznie witali nas robotnicy kolejowi. Myślałam: „Czyżby tak samo witali każdy pociąg?" Jednak w Belgii znalazłam na to odpowiedź. Kiedy wróciłam do przedziału, moja młoda towarzyszka wyjaśniła mi wszystko. Okazuje się, że robotnicy wołali: „Vive Moscou!", kiedy zobaczyli napis na naszym wagonie. Bezpośredni wagon Moskwa — Londyn jechał wtedy po raz pierwszy po długiej przerwie.

Wrażenia z Brytanii? Wydało mi się, że Anglicy są daleko milsi i serdeczniejsi na swojej ziemi niż kiedy goszczą za granicą. Z wiktoriańskiej przesady nic w nich nie zostało. Czemu zresztą trudno się dziwić — upłynęło sześćdziesiąt lat.

Doskonale pamiętałem słowa Achmatowej, że „Poeta, to człowiek.

(Dokończenie na str. 6)

Mirosław Derecki

turystyka od kulis

BYLE TYLKO KOCE DAWANO...

— Co tak późno? — zapytał surowym głosem portier. — Już nie wiesz, o której przychodzić?

— Bo... z Bieszczad akurat przyjechałem i znaczy... — zająknąłem się bojaźliwie. — W Rzeszowie chciałem do hotelu, ale miejsc nie ma i poradzili, żeby do pana, do schroniska szkolnego...

— Pan... student?

Poczułem się od razu o kilka lat starszy niż przed chwilą.

— Jasne, że student — skłamałem bezczelnie. — A bo co?

— Dziesięć złotych i dowód osobisty! — odparł dyplomatycznie. Sala jest tam, kłaść się spać i nie hałasować!

Sala normalna, jak w schroniskach szkolnych: ropowana podłoga, dwadzieścia parę łóżek w klasie lekcyjnej, gołe piasiaste materace, lekki smrodek azotoksu.

Wybrałem sobie łóżko, rozpakowałem plecak i wyszedłem na korytarz.

— Czego jeszcze? — zagadnął cerber.

— Koce... — powiedziałem.

— Koce? — zdziwił się. — A swojego pan nie ma?

— Nie.

— My też kocy nie mamy...

— To jak będę spał?

— A ja wiem? Zwyczajnie. Bez kocy.

Spałem „bez kocy". Przypomniałem sobie studenckie czasy wakacyjnego waletowania w pustym akademiku. Ściągnąłem z sąsiednich łóżek dwa materace, przykryłem się nimi i... zasnąłem. Było trochę ciężko, ale za to ciepło.

*

W pierwszym, sierpniowym numerze „Kultury" Janusz Wasylkowski roztacza przed czytelnikami ponury obraz „Polski hotelowej". Przepełnione prowincjonalne hoteliki, bezmyślność personelu, przerażające „kwatery prywatne" — oto co czeka najczęściej podróżnego.

Moje spostrzeżenia dotyczą noclegów turystycznych i opłat za noclegi.

Kielce

Późny wieczór. Mijam elegancki hotel „Centralny" — dumę Kielc. To nie dla mnie. Tanie noclegi? PTTK? Ktoś wskazuje mi wielką tablicę informacyjną — plan Kielc — ustawioną niedaleko dworca, przy ul. Sienkiewicza. Obok ul. Kopernika namalowany jest znaczek, który w legendzie odpowiada napisowi: „Stacja turystyczna PTTK". „Stacja" — to znaczy dwadzieścia starych domków campingowych, tak zwanych „psich budek", jakie się już rzadko spotyka, nie całkiem jeszcze zbutwiałych. W domkach — światło elektryczne. Na zewnątrz, na podwórku, pod koszlawym drewnianym daszkiem blaszane koryto z kurkami (woda bieżąca), w krzakach ustęp w stylu prowincjonalnym. Wewnątrz domku, wzdłuż ścian, dwie prycze. Trzydzieści centymetrów nad nimi, na poprzek — trzecia. Kiedy ten trzeci położy się na swoim miejscu, dwaj inni nie bardzo mogą poruszać nogami. W sumie na ok. 4 metrach kwadratowych — trzy osoby. Na jednego turystę przypada więc 1,33 m² powierzchni domku.

Cena noclegu? 15 złotych plus 1 zł meldunek, plus 1 zł opłata na SFOS. Razem 17 złotych!! Razem, cały domek — 51 złotych!!! Kilka ulic dalej, we wspomnianym luksusowym hotelu „Centralnym", pięćdziesiąt jeden złotych kosztuje nocleg w pokoju jednoosobowym, z radiem, telefonem, osobną umywalnią, przedpokojem, puchową kołdrą itd.

Sanok

Dom Wycieczkowy PTTK przy ulicy Traugutta. Drewniany barak. Po obu stronach biegnącego przez środek budynku korytarza — wieloosobowe pokoje. Ropowana podłoga. Na końcu korytarza umywalnie. Kurki do ciepłej i zimnej wody. Oczywiście, jest tylko zimna. W tych samych pomieszczeniach, co umywalnie — WC. W siedmioosobowym pokoju (szpitalne łóżka, stół, wieszak, kilka prostych krzeseł) miejsce razem z meldunkiem kosztuje 26 złotych.

Niedaleko — miejski hotel komunalny „Bieszczady". Prowincjonalny, ale zawsze — komfort. Łóżka na wysoki połysk, na podłodze chodniki—dywany, w pokojach umywalnie z bieżącą wodą. Lustra, firanki, portiery. Miejsce w pięcioosobowym pokoju — 20 złotych, plus złotówka za meldunek, miejsce w pokoju dwuosobowym — 27 złotych. „Bieszczady" są hotelem trzeciej kategorii, dom PTTK — drugiej.

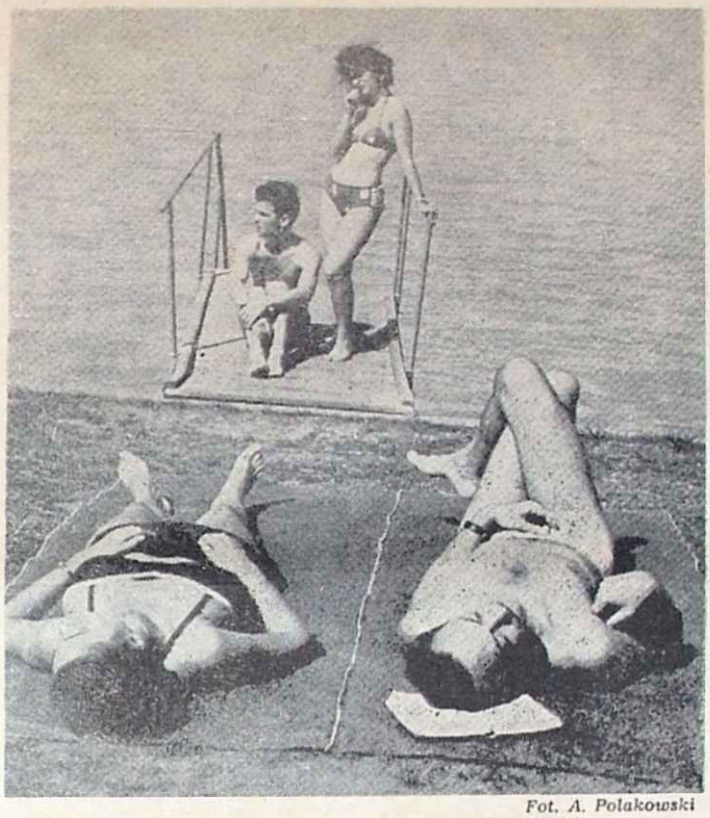

Fot. A. Polakowski

Ustrzyki Dolne

Znowu „stacja turystyczna". Tym razem trzy pokoje w prywatnej chałupie. W każdym pokoju po 5—6 żelaznych, koszarowych łóżek. Niektóre piętrowe. Łóżka i pościel daje PTTK, lokal i obsługę — właściciel domu. Nocleg — 20 zł. Połowa dla gospodarza, połowa dla PTTK.

Ustrzyki Górne

Schronisko PTTK. Wielki drewniany barak, podobny do sanockiego. Różnica zasadniczo taka, że w Ustrzykach Górnych jest jeden wspólny kran na zewnątrz budynku a w pomieszczeniu do mycia stoją miednice. Miejsce w salach 15- i 40-osobowych kosztuje 10 zł, w pokojach 4- i 7-osobowych — 20 złotych! Schronisko jest placówką trzeciej kategorii.

Rzeszów

W niedawno wzniesionym, nowoczesnym ośrodku sportowym „wygospodarowano" jedno piętro na elegancki hotel sportowo-turystyczny. Hotel prowadzony jest przez Wojewódzki Ośrodek Sportu, Turystyki i Wypoczynku. Cena noclegu w pokoju 7-osobowym (jedynym zresztą zbiorowym pokoju) — 26 zł, w pokoju dwuosobowym — 45 zł.

Kazimierz nad Wisłą

Kilkupiętrowy Dom Wycieczkowy PTTK przerobiony z zabytkowego spichrza. Własna restauracja. Budynek skanalizowany, centralne ogrzewanie. Wielkie kilkudziesięcioosobowe sale i kilkuosobowe pokoje. Noclegi w pokojach sześcio-lub ośmioosobowych, razem z meldunkiem — 21 złotych. Dom PTTK w Kazimierzu jest placówka II kat.

Oto kilka przykładów z trzech wschodnich województw. Nie wiem, jak wygląda sytuacja w innych regionach Polski. Ale tutaj wytworzyła się sytuacja paradoksalna. Obiekty noclegowe PTTK, bo chyba tylko tak je można nazwać — nie posiadają bowiem standardu hotelowego — są w zasadzie droższe od normalnych hoteli komunalnych! I pośrednio i bezpośrednio. Niezrozumiałe jest zróżnicowanie cen noclegów w domach PTTK w różnych miejscowościach (leżących nieraz w tym samym województwie).

Dlaczego nocleg w Sanoku kosztuje o wiele drożej niż nocleg w schronisku tej samej kategorii, ale przecież właściwie o wiele lepszym — w Kazimierzu nad Wisłą?

Różnica między schroniskiem w Sanoku a tym w Ustrzykach Górnych jest właściwie minimalna, a różnica cen bardzo duża. Jakimi kryteriami kierowano się w Kielcach ustalając cenę noclegu — w koszmarnych warunkach — na podobną do tej, którą się płaci za miejsce w 6-osobowym pokoju w Kazimierzu? Czy ktokolwiek zadał sobie trud, by skoordynować ceny, zastanowić się nad cennikiem noclegowym? Paradoksalne, zaskakujące sytuacje spotyka się, wędrując po trzech województwach, na każdym kroku. We wspominanej wciąż kieleckiej „psiej budce" płaci się za miejsce 17 złotych. Za nocleg w takiej samej w Kazimierzu — 16, ale w Kazimierzu śpią tam tylko dwie osoby, jest obok pawilon z umywalniami, z ciepłą wodą i ubikacjami, jest pod nosem restauracja, telewizor, świetlica. Zresztą w Kazimierzu nie dolicza się przymusowej opłaty na SFOS, a w Kielcach dolicza, co w efekcie daje zrównanie cen.

Dziwna w tym wszystkim wydaje się postawa WKKFiT-ów, które jako wydziały wojewódzkich rad narodowych sprawują pieczę nad sprawami turystyki, im również podlegają oddziały PTTK i właściwie wszystkie instytucje i obiekty mające coś wspólnego z turystyką.

Jeśli zaś chodzi o tzw. ulgi dla członków PTTK to sprawa wygląda następująco: po dwóch latach aktywnej przynależności do organizacji członek jej nabiera prawa do zniżki piętnastoprocentowej. Po następnych trzech latach — do dalszych dziesięciu procent. Tak więc na przykład osiemnastoletni, nie śmierdzący groszem, entuzjasta turystyki ma przed sobą perspektywę kilkuletniego czekania na nabycie wyżej wspomnianych praw dla swojej chudej kieszeni.

*

W tym wyrywkowym obrazie kulis turystyki — trudno o obszerniejszy szkic w jednym odcinku — warto kilka słów poświęcić informacji na temat samych miejsc noclegowych dla turystów w województwach: rzeszowskim, kieleckim i lubelskim. Na przykład Kielce i Rzeszów nie posiadają domów wycieczkowych PTTK. W Kielcach, poza istniejącą tam „stacją turystyczną", PTTK dzierżawi pokoje w domach prywatnych. W Rzeszowie i tego nie ma. Turystów kieruje się albo do schroniska szkolnego, albo — jeżeli im na to kieszeń pozwala — do hotelu WOSTiW-u. Schronisko jest czynne tylko w okresie wakacji. Mieści się w lokalu szkoły. W zimie pozostaje możliwość udania się do schroniska w Łańcucie, dysponującego około 200 miejscami. Ale do Łańcuta jest 17 kilometrów...

A takie Bieszczady? Statystyki mówią, że w 1959 roku, kiedy przez Bieszczady przewijało się tylko 50 tys. turystów, a we wszystkich trzech bieszczadzkich powiatach (Lesko, Ustrzyki Dolne i Sanok) było 5 sklepów i 170 miejsc noclegowych — na jedno łóżko przypadało 249 turystów. Teraz sytuacja się znacznie poprawiła. W bieżącym roku Bieszczady odwiedzi 35 000 turystów, a łóżek jest już tyle, że na każde wypadnie tylko 145 turystów. Oczywiście, w ciągu tych kilku lat dokonano ogromnego skoku naprzód, ale każdych 144 turystów i tak wyjedzie z Bieszczad niezadowolonych.

Tutaj znowu powołam się na Wasylkowskiego: nic nie poradzimy, nie mamy pieniędzy, w najbliższych latach nie rozwiążemy w Polsce sprawy braku hoteli i miejsc noclegowych, a to, co nam kapnie, to kropla w morzu.

Kroplą dla Kielc będzie w najbliższych latach duży dom turystyczny, który zostanie wybudowany przy ul. Krakowskiej, obok nowej krytej pływalni, kroplą dla Lublina nowy hotel turystyczny, wreszcie kroplą dla Rzeszowszczyzny tych kilka obiektów, które mają tam powstać w najbliższych latach: hotel turystyczny w Sanoku na 210 miejsc, hotel wycieczkowy w Ustrzykach Dolnych również na 210 miejsc, komfortowy hotel turystyczny w Rzeszowie na 150 miejsc i wreszcie, ośrodek w Brzegach Górnych, pomiędzy Ustrzykami Górnymi a Wetliną. Zostanie tam wybudowany hotel na trzysta miejsc, wyciąg na Połoninę Caryńską i bar szybkiej obsługi.

Kilkaset miejsc, to, oczywiście, kropla w morzu i dlatego nie dziwię się, że w tej niełatwej sytuacji odnośne władze postanowiły liczbę zastąpić przynajmniej... jakością. Luksusowy hotel na 150 osób w Rzeszowie będzie kosztował... 25 milionów złotych, ośrodek w Brzegach Górnych — 60 milionów, ale trzeba sobie powiedzieć, że jak się już tych trzystu turystów wyśpi, to każdy przynajmniej za stu! Chociaż, tamci może woleliby się wyspać w gorszych, ale za to liczniejszych schroniskach wybudowanych za te same pieniądze? Nawet nie różniących się zbytnio od takiego schroniska szkolnego w Rzeszowie... Bo turysta nie jedzie w Bieszczady ani w Góry Świętokrzyskie żeby szukać wygód. Byle tylko koce dawano...

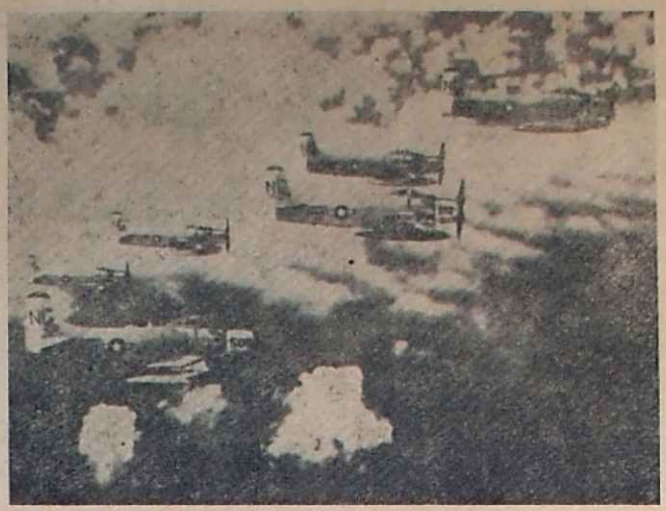

ZBIGNIEW KOŚMIŃSKI

Sąd

Jakimi słowami myślisz,
człowieku, w nieludzkim ptaku
„made in USA"?

Jaką nieprawdę chcesz głosić
zgłoskami płonącymi
wybuchami bomb?

Czyją nienawiść dźwigasz
na ramionach przedłużonych
karabinem
i w oczach odbijających pożary
rozpalone napalmem?

Widzę
cień skrzydeł
skośnie padający na Ziemię.

Słyszę
huk motorów
metalowych nosicieli śmierci
wirujących nad puszczą.

W dniu dzisiejszym, czerwonym
od krwi Wietnamczyków
wyoranym wieloskibowym pługiem
nieszczęścia
jestem z tobą,
człowieku, „made in USA".

Notuję twoje słowa
wypełnione próżnią.
Śledzę twoje czyny,
pozbawione oparcia myśli.
Tropię twoje uczucia,
przygniecione otępieniem.

Jestem przy tobie,
człowieku, „made in USA"
po to,
by sądzić nie ciebie,
lecz twoją cywilizację.

Lublin

Stosunek do mojej ojczyzny

(Dokończenie ze str. 4)

któremu nic nie można dać i któremu nic nie można odebrać", mimo to zapytałem o ceremoniał wręczenia doktorskiej togi.

— Sam ceremoniał nie może nie wywrzeć silnego wrażenia, kiedy się uprzytomni, że to wszystko do najdrobniejszych szczegółów działo się zupełnie tak samo jak przed wielu wiekami.

Ucieszyłam się bardzo, kiedy po ceremoniach usłyszałam język rosyjski — to przyszedł z gratulacjami artysta radziecki Arkadiusz Rajkin. Specjalnie przyjechał z Londynu, gdzie występował ich teatr, aby asystować przy wręczeniu.

Nigdy nie zapomnę drogi z Londynu do Oxfordu, którą odbyłam w samochodzie i wyjazdu do zamku Windsor. Bardzo interesujące i przyjemne były rozmowy z profesorami i protektorami uniwersytetu i przyjęcie w New-Colledge (nowym w Oxfordzie nazywa się kolegium, które powstało w roku bitwy na Kulikowym Polu). Tam poznałam się z angielskimi rusycystami wykładającymi język i literaturę rosyjską. Z najrozmaitszymi specjalistami: od bibliografii, poetyki, prozy, dawnej i współczesnej literatury, np. od Leskowa i od Babela. Pokazano mi olbrzymią bibliotekę uniwersytecką, którą na szczęście oszczędziła wojna...

Achmatowa mówi umyślnie powoli — czy aby mi ułatwić notowanie, czy z właściwego jej przyzwyczajenia — bacznego dobierania najwłaściwszych słów.

— Jakie ma pani teraz plany? — spytałem.

— Pojadę do Budki.

Budką Achmatowa nazywa mały drewniany domeczek w Komarowie, letnisku pod Leningradem, gdzie mieszka. W Budce Annę Achmatową odwiedza mnóstwo osób. Znajomych i nieznajomych, młodych i starych. Ich nigdy nie zniechęci ani przepełniony podmiejski pociąg elektryczny, ani zła pogoda, ani czas nieodpowiedni do składania wizyt.

— Pojadę do Budki, aby zrobić korektę mojej nowej książki „Bieg czasu" (liryka 1909—1965), która ukaże się w Leningradzie i skończyć przekłady wielkiego poety włoskiego — Leopardiego.

W ubiegłym roku Achmatowa była we Włoszech. Na Sycylii, w starożytnej Katanii wręczono jej nagrodę „Etna — Taormina".

— Włosi opowiadali mi, że zapomnieli wielu swoich poetów, ale Leopardiego pamiętają i umieszczają go na drugim miejscu po Dantem.

Spytałem Achmatową o jej książkę tłumaczeń, która ma się ukazać w Państwowym Wydawnictwie Literackim.

— Wyjdzie w sierpniu tego roku. Przedmowę do niej napisał zadziwiający nasz tłumacz i jak dotąd mało komu znany, jeden z wybitniejszych współczesnych poetów, Arseniusz Aleksandrowicz Tarkowski. W książce znajdą się przekłady z polskiej poezji ludowej, ludowy epos serbski...

Powinniśmy być szczęśliwi i wdzięczni losowi, za to, że nasz język jest jeszcze taki młody i giętki. Dopuszcza inwersje (czego nie dopuszczają starsze języki z ustaloną, określoną kolejnością słów w zdaniu). Po rosyjsku można oddać wszystko z największą ścisłością.

W okresie władzy radzieckiej wyrósł szereg wspaniałych tłumaczy. Większość z nich można nazwać szkołą nie żyjącego Michała Łozińskiego, który w swoim czasie świetnie przełożył „Boską Komedię".

Do nich należą tacy wybitni artyści, jak Maria Pietrowych, Siemion Lipskin, Dawid Samojłow, Arseniusz Tarkowski. Na ludziach należących do tzw. średniego pokolenia sztuka ta się nie kończy. Są już tak doskonali nowi tłumacze, jak Anatol Geleskuł, Andrzej Siergiejew, Anatol Najman.

I ostatnie pytanie: młodzież poetycka.

— Jestem świadkiem życia literackiego w ciągu pół wieku. Takiej młodzieży, jaka wyrosła teraz, nie widziałam nigdy. Dobrej, rozumnej, śmiałej...

Wywiad przeprowadził:
Michał Olszewski

RYSZARD LISKOWACKI

NAJGŁĘBSZA

NIEMIEC oparł się rękami o krzak kolczastego drutu. Wygląda, jakby się zmęczył, jakby chciał chwilę odpocząć.

Podczołguję się parę metrów, odpinam mu manierkę. Już mu niepotrzebna, już nie czuje pragnienia. W manierce jest wódka rozcieńczona herbatą. Piję powolu, oszczędnie.

Znów jestem w masywnym okopie, przykrytym białymi klockami brzóz. Wtargnęliśmy tutaj w samo południe. Lufa maszynowego karabinu, która szukała przez parę godzin naszych ciał, zmieniła teraz kierunek. Piegowaty strzelec ustawił ją na wprost masywnego, czerwonego domu, w którym siedzą Niemcy. Lufie wszystko jedno, w którą stronę jest skierowana i komu służy. Była posłuszna tamtym dłoniom, a teraz nam nie odmawia swej przysługi.

Rowem łącznikowym prowadzą jeńca. Ma zabandażowaną głowę i poparzoną twarz. Prowadzą go na tyły, tam w sztabie dywizji zaprezentuje swe wiadomości. Ale my też chcemy wiedzieć o niespodziankach, jakie na nas czekają. Idę za Niemcem, idę aż do okopu porucznika Szurki... tutaj Niemca zatrzymuję na chwilę. Musi zaspokoić naszą pierwszą ciekawość.

— Żołnierze są zrozpaczeni — mówi beznamiętnie szpakowaty kapral — my byśmy się poddali, ale oficerowie mówią, że Rosjanie i Polacy wszystkich Niemców rozstrzeliwują.

— Niestety, nie wolno — krzywi wargi w wątpliwym uśmiechu podchorąży Kotlarz. I natychmiast naciera:

— Z jakiej jednostki jesteś?

— 70 pułk piechoty...

— Jakimi siłami przygotowane są kontrataki...

— Nie wiem... z rejonu Neu Rauft podciągnęli batalion „Brandenburg"... i pułk „Baer"... Tam gdzieś z tyłu jest jeszcze 5 lotnicza spieszona dywizja...

Wracam do swoich chłopców.

— Coś się szykuje, obywatelu sierżancie — mówi piegowaty właściciel niemieckiej zdobycznej „maszynówki". — Zaczynają się fryce kręcić po przedpolu. Dwóch miałem zaszczyt położyć...

Od pół godziny mamy względną ciszę. To bardzo długa cisza... zbyt wielki luksus. Niemcy zdążyli się już na pewno przegrupować, uzupełnić amunicję. Nęcą ich chyba nasze solidne okopy. Sami je w marcu kopali, wycinali pobliskie drzewa, aby zabezpieczyć się przed naszą śmiercią.

I kiedy tak rozmyślam, za ile minut będę się musiał znów przytulić do kolby pepeszki, okopem zaczynają płynąć słowa: przygotować się. Uwaga, przygotować się. Uwaga...

Więc wyprzedzimy ich. Podetniemy im nogi, kiedy będą się zrywać do ataku. — ...gotować się... uwaga... przy...

Kogo mam obok siebie? Kto następny?

Jest połowa drugiego dnia... Wszystko liczy się od wczoraj, od wczesnego świtu, kiedy wskoczyliśmy do łodzi. Więc liczymy... po jednej stronie nasze zyski: kawałek płaskiej, poprzecinanej kanałami melioracyjnymi, ziemi.

Gdybym się teraz zerwał i gdyby nikt do mnie nie strzelał, dobiegłbym do brzegu rzeki za kilkanaście minut, doszedłbym za niecałą godzinę... a tu już połowa drugiego dnia.

I nasze straty... może lekarz-czarodziej uratował mojego chłopca z przestrzelonym brzuchem? Ilu jednak nie uratował? Ilu zostało na tym brzegu? Można by sformować piękne kompanie. Kompanie walecznych żołnierzy, którzy męczyli się od Lenino, a odpoczęli dopiero tutaj. Można by sformować pułk najodważniejszych pod słońcem strzelców. Wspaniały pułk, na którego defiladę czekają wszystkie miasta Polski. A to dopiero połowa drugiego dnia.

Oskrzydlamy Neu Rudnitz... Pchamy się na północ... Walczymy o każde zagłębienie w ziemi, o każdy krzak, płot, przydrożny kamień...

Zaginamy nasze prawe skrzydło, bojąc się stamtąd frontalnego uderzenia Niemców.

— Za pięć minut... za pięć minut... za pięć minut... — szept najróżniejszych tonacji.

Głosy niskie, bucz ące, głosy zachrypnięte, głosy dzwoniące falsetem... — za pięć minut...

Już nie miałem przyjaciół. Załamałem się, kiedy zginął ten jedenasty. To właśnie wtedy powiedziałem kapitanowi: brak mi sił... zwiadowca nie powinien mieć chorych snów, dręczących kompleksów... już nie mogę... będę przynosił nieszczęście... odeślijcie mnie do piechoty...

To właśnie wtedy wybrałem Zäckerick *). I znów miałem przyjaciół. W sztabowej kuchni długo, ze znajomością rzeczy, z należną generałom wprawą, przygotowano dla nas tę ofensywną ucztę... Czekając na nią, uczyłem się nowych ludzi. Czasu było mało, więc znajomości rodziły się szybko.

Już ich znałem... I plutonowego Gałązkę i porucznika Tazbira i chudego kaprala Wnuka, który spał z otwartymi oczami... I mojego strzelca, którego zostawiłem przy torze... I wielu innych, którzy dwa dni temu z niepokojem, i mimo wszystko nadzieją, patrzyli na zachodni brzeg Odry... już ich nie ma.

Krótka seria z naszej strony.

— Już... już... naprzód... na nich! Już... naprzód!

I rozciągający się w głąb i wszerz, formujący się w kształt nagłego błysku krzyk! urraaa!

Mało nas. Ten krzyk przerasta nasze postacie. Uzupełnia luki w szeregach, jest jak świeże powietrze w zmęczonych płucach.

Czerwony dom krztusi się od wystrzałów. Z boku wybucha mina, a później padają wśród nas, jak polne kamienie, ręczne granaty.

Ciągle biegnę. Ciągle jestem nieśmiertelny. Z tysiąca wystrzelonych w naszą stronę pocisków, ani jeden nie pisany był dla mnie.

Ciągle biegnę. Przeskakuję niski płot, już jestem na podwórzu.

Za mną kilku szczęśliwców.

— Granatami! — dogania mnie zdyszany krzyk.

— Granatami! — odpowiadam natychmiast.

Już leci pierwszy granat pod niegościnne drzwi. Rzucamy się za wyłom muru.

Wybuch... i zanim opadł dym, w to samo miejsce rzucam dwa następne...

— Wybuch! Wybuch!

Wbiegamy w najeżony drzazgami otwór. Drzwi wypadły z zawiasów, oparły się o wielki, podsunięty z tamtej strony stół.

— Vergibt euch! — przekrzykujemy strzały — Vergibt euch!

*) Zäckerick — obecne Siekierki.

(Dokończenie ze str. 1)

dniowej Lubelszczyzny Ba! Groźnym konkurentem Lublina.

Więc obok Manchesteru — nadzieje na Oxford, wsparte wspomnieniem Zamojskiej Akademii. Nadzieje — już zaczynające się spełniać. Bo w sobotę i niedzielę ma swoich studentów. Pół tysiąca.

Nawrót do akademickich tradycji wcale nie był łatwy. Tu już nie lał się strumień inwestycyjnych złotówek. Akademia to nie fabryka mebli ani tym bardziej Zakłady Jajczarskie. Trzeba było samemu „wymyślać" w zagęszczonym Zamościu sale wykładowe i mieszkania. Bez tego niewiele pomogłaby nawet życzliwość rektora Seidlera. A w tym roku — rektora Podkowy

Ale „filia" i pół tysiąca „zaocznych" studentów bynajmniej nie zadowalają ambicji naszej lubelskiej „Padwy". Pewnie, w gabinecie za urzędowym biurkiem nikt by tego nie powiedział. Biurko to nic takiego, co uskrzydlałoby wyobraźnię. Natomiast węgierski „Rizling" pod tym względem ma większe walory. Można wtedy zupełnie wyraźnie zobaczyć pełne wskrzeszenie dawnej Akademii. W nowej postaci — Wyższej Szkoły Pedagogicznej. Dlaczego by nie? Są podstawy — jest Studium Nauczycielskie i jest filia lubelskiego Uniwersytetu. Dlaczego by nie? Ja tam dałem się łatwo przekonać. Ale trochę trudniej przekonać Ministra...

Trzeba zatem wrócić do rzeczywistości.

Nadrobić trzy wieki

Piekielnie trudno wyplątać się z tych zamojskich uliczek. Kiedy projektował je Morando w szesnastym wieku, były bardzo szerokie. A teraz — dławią ruch, miasto dostaje wielkomiejskiej czkawki.

Tym bardziej, że od kilku lat trwają zamojskie „wykopki". Dziwnym niedopatrzeniem Bernardo Morando, architekt Zamościa sprzed trzech i pół wieku — przeoczył sprawę wodociągów i kanalizacji. Spostrzegł to magister Zgnilec, przewodniczący zamojskiej rady. No i pod ziemię chowa się teraz ileś tam kilometrów rur i rurek. W rezultacie — nie chodzi się po Zamościu, lecz podskakuje. Ludzie narzekają na tę skakaną cywilizację, na te doły i wądoły, objazdy i zakazy — ale trzeba przecież nadrobić trzy wieki...

Patroszy się także stare kamieniczki. Ratusz wewnątrz jest sproszkowany.

Biedny Bernardo

Nareszcie, w ubiegłym roku Zamość doczekał się pierwszych, bardziej obfitych kredytów na renowację Starego Miasta, któremu zagrażała całkowita ruina. Parę lat temu fakt ten próbowano ukryć przy pomocy zewnętrznej kosmetyki, samej szminki po prostu. Ale teraz, miejmy nadzieję, coroczny zastrzyk piętnastu milionów złotych radykalnie wzmocni stare mury.

Oczywiście, zabieg to nie bezbolesny. Na okres remontów trzeba było przesiedlić mieszkańców do tymczasowych „pawilonów" za miastem. „Pawilonów"... Ci, którzy tam mieszkają, mówią raczej „baraki". No, ale wiedzą, że wrócą do nowoczesnych mieszkań — z wodą i kanalizacją — w starych, pięknych morandowskich kamieniczkach.

Jednak miasto już dawno wyskoczyło poza granicę starych fortecznych murów, poza ulice Grecką i Ormiańską.

Wyrosły nowe osiedla. Chciałoby się utartym zwyczajem napisać — „nowe, kolorowe osiedla" Niestety...

Pewnie, liczą się przede wszystkim te setki nowych mieszkań, które w ostatnich latach przybyły miastu. Ale sprawy architektury i urbanistyki tych nowych osiedli też nie wydają się obojętne. Szczególnie właśnie tu, w Zamościu, w bezpośrednim sąsiedztwie wspaniałej architektury renesansu, w sąsiedztwie niezwykle logicznie zaplanowanego Starego Miasta. Niestety, architektura nowych bloków z trudnością tylko mogłaby wytrzymać konkurencję austriackich koszar. A urbanistyka na przykład osiedla „na Plantach" — Bernarda Morando doprowadziłaby pewnie do omdlenia.

Chciała ta nowa architektura wznieść się raz w nieco wyższe rejony. Zaplanowano ośmiopiętrowy „wysokościowiec". Ale w połowie ktoś się rozmyślił. Jedni mówią, że ze względu na windę, inni, że na fundamenty — w niedzielę tego nie sprawdzisz. Ale i w niedzielę pozostaje nagi fakt, — na Plantach stoi coś, co bardzo chciało być smukłe, ale mu się nie udało. Biedny Bernardo!

Brak miejsca dla dzikich zwierząt

Jednak kilka tysięcy ludzi wprowadziło się do nowych mieszkań. Natomiast — brak miejsca dla dzikich zwierząt.

Przed bramą zamojskiego ZOO pani W. powiedziała:

— *Niedawno urodziły się cztery lwiątka. Ale jedno umarło...*

Umarło... Tak, o zwierzętach myśli się tutaj z uczuciem. Ale jak dotąd — niewiele się robi.

Zwierzaki są smutne. Ktoś mi powiedział, że to z żalu za poprzednim dyrektorem ZOO. Dobrze, że przynajmniej zwierzęta tak mile go wspominają. Ale pan Z. nawet tego nie chce przyznać i znajduje bardziej racjonalną przyczynę melancholii lwów. Rzeczywiście, tłok tu niesłychany, zagęszczenie na metr kwadratowy klatki — poza wszelkimi normami. „Mają nieludzkie warunki" — powiada pan Z...

Właściwie samo puste miejsce dla dzikich zwierząt — jest. Ale żeby je godnie przysposobić na przyjęcie wymagających lokatorów — potrzeba ładnych kilka milionów złotych. I wiadomo już, że nie spadną one z nieba ani z Warszawy. Nie da się tej przeprowadzki załatwić bez finansowego udziału zamojskich instytucji — i bez społecznej pracy mieszkańców Zamościa. Uczucia — muszą się przemienić w czyny.

A są już dowody, że jest to przemiana możliwa.

Lokalny patriotyzm mieszkańców Zamościa — do niedawna nieco przywiędły i raczej wspierany tylko historią — odżył w ostatnich latach. I chętnie zostałbym na poniedziałek, by te swoje niedzielne wrażenia wesprzeć kolumnami liczb: ile to przebudowanych ulic, nowych kwietników, skwerów i ulicznych lamp. Chętnie zostałbym na poniedziałek — jednak przedtem musiałbym poczekać kilka lat na nowy hotel...

Ale w końcu i bez liczb widać te zamojskie przemiany. Na ulicach i w nowym Domu Kultury. Można się o nich dowiedzieć — nawet z plotek...

Dziwne miasto, naprawdę. Miasto piękne — ale także nie pozbawione szpetoty. Ambitne — ale z przerwą na poobiednią drzemkę. Duże — ale także, jeśli tak rzec można — jeszcze jakoś... małomiasteczkowe.

Miasto wspaniałej przeszłości — ale i miasto wielkich nadziei.

Janusz Danielak

ZAMOŚĆ dziwne miasto

Fragment powieści: „Drugi brzeg i mielizna"

CIEMNOŚĆ

Nie ma chętnych. Widzę nagle biegnącego po schodach, w kierunku strychu, SS-Sturmanna. Jest więc SS. Nie będzie jeńców!

Strzelam do niego i chybiam. Niemiec odwraca się, w jego dłoni czai się granat. Ktoś z tyłu puszcza krótką serię.

...Niemiec przysiada na schodach, trzymając się kurczowo poręczy. Jeszcze sekunda i błysk wybuchu. Granat był już odbezpieczony. Rozbiegamy się po pokojach. Kilka trupów, kilku rannych.

Żywi atakują nas z piwnicy. Wybiegło stamtąd trzech. Miejsca jest mało. Walczymy więc na kolby, na noże, na pięści i zęby.

Żywi atakują nas ze strychu. Tam jest maszynowy karabin. I słyszymy, że ciągle ostrzeliwuje podwórze, przez które nam udało się przebiec...

Więc na górę! Na schodach zmasakrowany trup Sturmanna. Obok niego któryś z naszych.

— Uważajcie — woła tłumiąc na chwilę skowyt — za tamtym kominem!

Już widzimy. Przed nami znów biegną nasze granaty. I teraz dopadamy się w dymie, w duszącym kurzu.

Umilkł już maszynowy karabin. I my też milczymy. Nikt nie woła pomocy, nikt nie chce się poddać. Za potężną belką podtrzymującą strop dostrzegam niemieckiego oficera. Strzela z pistoletu...

Łapię pepeszkę za lufę i walę go z tyłu w łeb, jak maczugą. Jeszcze strzał i jeszcze jeden. I nagle zapada cisza...

Przyklękam, opieram się dłońmi o czarne klepisko strychu...

— Co panu jest, sierżancie, ranny?

Schyla się nade mną żołnierz w poszarpanym mundurze. Jest bez karabinu, w ręku trzyma krótki, niemiecki nóż...

— Nie, nic mi nie jest. Już dobrze...

Zwołujemy się. Patrzymy na siebie z radością. Żyjemy. Jest nas pięciu...

— Wasser, Wasser! — woła prosząco umierający oficer.

— Gówno chcesz? — warczy niski plutonowy.

Pochyla się nad Niemcem i krzyczy mu nad uchem jedyne, jakie zna, niemieckie słowa:

— Verfluchte! Donnerwetter! Chcesz? Donnerwetter?

W tej właśnie chwili potężny wybuch rzuca nas na klepisko.

Nic nie widzimy. Nieprzenikniony dym wchłonął nas w siebie i zdusił.

Potrząsam nieprzytomnie głową. Chcę wstać, ale moje nogi nie należą już do mnie. Nie mam nad nimi władzy. Następny wybuch... pęd powietrza rzuca mną jak starym kawałkiem drzewa. A jednak nie tracę przytomności. Czuję ból, więc żyję. Dotykam ręką spodni... Lepka ciecz.

Jest ciemno. Podsuwam rozczapierzone palce pod nos. Wącham... Krew?

Wiem, że to krew, ale próbuję nie wierzyć. Dopóki jest ciemno, będę próbował nie wierzyć.

Kładę się pomału na brzuch, zapieram się rękami w podłogę. Pełznę. Przecież do okienka na strychu tylko trzy kroki... Kroki? Kroki się liczy nogami.

A jednak dopełzłem. Wystarczająco szybko, aby zobaczyć ten czołg rozwalający płot, czołg kręcący się w kółko na podwórzu jak rozleniwiony na słońcu bąk. Obok czołgu Niemcy. Czarni od dymu, czarni od naszego ognia. Krzyczą, nawołują się, wydają rozkazy. Już są na dole. Szybki tupot podkutych butów.

No, więc wszystko w porządku. Nie mam do was żalu, nogi. I tak nie byłybyście mi potrzebne. Tam, gdzie za chwilę pójdę, można dojść nawet bez nóg.

Ale przypomina sobie o mniej mój dawny, stary znajomy: strach. Już mnie dopadł, już mnie odciąga od rozbitego okienka. W sam kąt strychu... Za skrzynkę z piachem, za worki z piachem ciągnie mnie mój strach. I położył się przy mnie. Wiem, że mnie teraz nie opuści. Że tak już będzie leżał obok mnie do końca. Do jakiego końca?

Już są tutaj. Spieszą się... nachylają się nad swoimi. Nachylają się nad pięknym Hauptscharführerem, który przed paroma minutami prosił o wodę, a teraz leży już spokojnie i nic go nie obchodzi. I nie cieszy się, że przyjechał po niego czołg, że czarni od naszego ognia żołnierze troskliwie podnoszą go z ziemi.

I wśród tej koleżeńskiej krzątaniny słyszę nagle znajomy głos:

— O, skurwysyny, coście mi zrobili!

Patrzę w tamtą stronę. Niski plutonowy podnosi się na kolana. Nie ma jednej ręki... nawet strzęp munduru nie został...

Plutonowy ma szarą twarz, jakby mu ktoś posypał popiołem. Opiera się na tej jednej, która została ręce i płacze..., kinie i płacze... Kinie i płacze na przemian.

Ten płacz trwa bardzo długo. Padły dwa strzały. Plutonowy zwinął się w kłębek, zamilkł. A mnie ciągle atakuje jego płacz.

Teraz Niemcy, jakby sobie o nas przypomnieli. Pochylają się nad zielonymi mundurami. Kopią, masakrują nieruchome, już dawno spokojne twarze.

Czerwony dom zajęczał znów od strzałów. Rozpoczęła się orgia ponownego umierania.

A ja skulony, z głową wciśniętą w worek pełny piachu, modliłem się o cud. I mój strach modlił się razem ze mną. I była w tej modlitwie żołnierska pokora, była tęsknota, była tęsknota do dawno zapomnianych i bardzo żywych spraw, była miłość i nienawiść i gorycz i wszelkie przebaczenie.

Kto odrzuci taką modlitwę? Kto ją zlekceważy, kto będzie dla niej głuchy?

Cud był coraz bliższy, ale widocznie nie o nim nie wiedział wysoki żołnierz w skórzanej, czarnej kurtce. Nic nie wiedział i wszystko popsuł. Zobaczył mnie, zobaczył moje poszarpane nogi i spieszące się bardzo do swoich żołnierzy, którzy już wybiegli ze strychu, strzelił do mnie tylko raz.

Dostrzegłem ten nagły ruch podniesionej ręki, dostrzegłem krótki błysk ognia i pozostałem z tym błyskiem w oczach. Dopiero po chwili, kiedy płuca dały sygnał, że rozpoczął się ból... błysk zmatowiał i dosięgłem najgłębszej ciemności.

„A pan brat szlachcic?"

(Dokończenie ze str. 1)

Z p. Bartkiewiczem rozmawiam o problemach szkolnictwa w pow. łukowskim. Z zadowoleniem mówi o stale rosnącym poziomie nauczania, z troską — o problemach lokalowych. W ostatnim roku szkolnym promocję otrzymało 95 proc. uczniów, poprawiła się atmosfera pracy w szkołach; w powiecie nie ma już prawie zupełnie dzieci, które nie chodzą do szkoły. To ostatnie zwłaszcza jest dużym osiągnięciem — pracownicy oświaty i nauczyciele często chodzili do domów dzieci zaniedbanych i stopniowo, dzięki współpracy z rodzicami, dzieci zostały przyciągnięte do szkoły.

Tylko... te szkoły. Na 126 szkół podstawowych w powiecie — 38 mieści się jeszcze w budynkach wynajętych. Równocześnie z nowym programem nauczania, przewidującym przedłużenie nauki w szkołach podstawowych o 1 rok — w wielu wioskach trzeba wprowadzać nauczanie 3-zmianowe, co oczywiście odbije się ujemnie na wynikach, gdyż nauczyciele są przepracowani. Tym bardziej trzeba z uznaniem podkreślić fakt, że wielu z nich dąży do podniesienia własnych kwalifikacji. Prowadzone w roku ub. w Łukowie kursy w zakresie Studium Nauczycielskiego ukończyło 130 osób. Obecnie, na rok przyszły, zgłosiło się już 163 kandydatów.

— Miejmy nadzieję — mówi inspektor oświaty — że Kuratorium w Lublinie, od którego zależy dalszy los kursów, wyrazi na nie zgodę.

Kłopoty z lokalami

Kłopoty lokalowe mają także przedszkola i internaty. W Łukowie są trzy przedszkola — żadne nie mieści się we własnym budynku. Budowę pierwszego obiektu planuje się na rok 1967, a tymczasem już obecnie ok. 60 dzieci pozostanie poza przedszkolem.

Lokale... lokale... Od dwóch lat w Łukowie jest czynne Liceum Pielęgniarskie, przybywają ciągle nowe klasy, powiększa się liczba uczniów w Liceum Ogólnokształcącym i w Zasadniczej Szkole Zawodowej, od września rozpoczyna naukę nowe Technikum Mechaniczne, a miejsc w internatach brak. Niezbyt wesołe są także perspektywy na przyszłość. Sprawą pilną jest np. utworzenie w Łukowie klas specjalnych dla dzieci trudnych. Dzieci takich w samym Łukowie jest zbyt mało, aby klasy były „pełne", a z terenu powiatu, niestety, nie można klas uzupełnić, gdyż brak miejsc w internacie. Sekretarz Prezydium PRN w Łukowie, Stefan Płonecki, w rozmowie ze mną powątpiewa w opłacalność tworzenia klas specjalnych. Rozumiem, sytuacja jest trudna, czy jednak rozważania nad nią należy rozpoczynać od problemów opłacalności?

Tym bardziej, że w Łukowie są kłopoty z młodzieżą. W mieście liczącym prawie 14 tys. mieszkańców nie ma ani jednego sprawnie działającego klubu młodzieżowego. Nie ma klubów, jest problem alkoholizmu. W ładnej kawiarni „Kruszynka" alkohol podaje się wszystkim. Nie tylko tam zresztą. MO jest niemal bezradna. Bo jakie ma możliwości? Spowodować zwolnienie tej czy innej kelnerki? — Panie, jak nie poda im wina — mówi poznany w kawiarni młodzieniec wskazując na grupę — nastolatków — to po wyjściu z pracy zarobi „kopa". Wiesz pan, jak to jest... Tak wiem. I znowu zdania piszą mi się w ciemnych barwach. W powiecie łukowskim masowo produkuje się bimber. Tendencje zwyżkowe: w r. 1964 przeprowadzono 34 „gorzelniane" dochodzenia, w pierwszej połowie roku bieżącego — 35.

Co robić?

Sąd w Łukowie wydał na alkoholików kilka wyroków, skazując ich na przymusowe leczenie w zakładach zamkniętych. Wzbudziło to pewien postrach, wielu mężczyzn zaczęło się leczyć. Tylko zaczęło, przestrach bowiem szybko przeminął, skoro okazało się, że skazani nadal chodzą i piją — a miejsc w zakładach zamkniętych brak. Czyż trzeba mówić o wysokiej szkodliwości społecznej takiego stanu rzeczy?... Niedawno w Łukowie zlikwidowano duży młodzieżowy „gang", jego członkowie przebywają w domu poprawczym. Czy to poprawiło ogólną sytuację? Tylko częściowo.

Oto 12-letni chłopak, całkowicie pozbawiony opieki rodziców, pije, kradnie, dokonuje włamań nie tylko na terenie miasta ale i poza nim, ma nawet powiązania z podobnymi sobie w Międzyrzecu, Radzyniu itd. Oczywiście, ma kolegów, oczywiście imponuje im, uczy pić, palić, kraść. Co tu może zdziałać milicja? Praktycznie nic. Do domu poprawczego będzie go można skierować, jeśli ukończy 14 lat i 4 klasy szkoły podstawowej. Chłopak nie uczy się, nie ma szans na to, że ukończy te cztery klasy. Tak czy inaczej — ma jeszcze półtora roku na doskonalenie się w fachu. Czy przepisy, przynajmniej w takich — wyjątkowych przecież — wypadkach, nie mogą być dostosowane do potrzeb? Młodzież przecież dojrzewa teraz szybciej niż kiedyś...

W r. 1963 podczas posiedzenia Prezydium PRN na wniosek KP MO utworzono komisję do spraw nieletnich. Pytam o jej pracę. Słyszę w odpowiedzi: — A co ona miałaby robić?... No, chociaż zadać sobie takie właśnie pytanie. Kiedyś nauczyciele wspólnie z funkcjonariuszami MO spacerowali wieczorem po mieście, sprawdzali kawiarnie i restauracje... Coś można robić. A z pewnością trzeba!

Powiatowy Dom Kultury. Ładna duża sala, w której obecnie jest urządzona wystawa reprodukcji obrazów Van Gogha. I pustki. Poza sobotnimi i niedzielnymi wieczorkami tanecznymi nic się nie dzieje.

— Poszłam raz, to mi wystarczy — mówi o takim wieczorku pielęgniarka z miejscowego szpitala — pełno pijaków i chuliganów...

W PDK nie ma żadnych gier, telewizor — jak mówią — od niepamiętnych czasów stoi zepsuty, zespół dramatyczny pracuje słabo (1 premiera na rok), w brydża można pograć, jeśli przyniesie się własne karty...

Młodzież w Łukowie skarży się na nudę, brak rozrywek. Sama młodzież, oczywiście, nie jest bez winy, ale — działacze i urzędnicy — nieco więcej serca! Zabawną chociaż wymowną ilustracją obecnego stanu rzeczy były zdania, które usłyszałem w KP PZPR i w PDK. Otóż jedna z pierwszych informacji, jakich udzielił mi sekretarz propagandy, Tadeusz Sójka, brzmiała:

— Nasz powiat od wielu lat przoduje w obowiązkowych dostawach, w zbiórce na SFOS itd...

To bardzo dobrze, doceniam te osiągnięcia, a jednak w tym momencie przypomniałem sobie słowa pewnego działacza młodzieżowego, który mówił:

— Nasze rady narodowe i organizacje partyjne troszczą się ogromnie o dostawy i zbiórki na SFOS, ale kulturę i sprawy młodzieży traktują po macoszemu. Pewnie, przodownictwo w tym zakresie byłoby niewymierne...

Być może, sąd ten jest nieco niesprawiedliwy, powiększony przez gorycz porażek, o których mi ten działacz opowiadał, a jednak zmusza do refleksji. Niewesołych...

Mięso i ludzie

Obok spraw lokalowych najpoważniejszym problemem Łukowa jest zatrudnienie, zwłaszcza kobiet. W okresie kilku ostatnich lat wybudowano w Łukowie duży zakład mleczarski, stale odbudowuje i rozbudowuje się Hutę Szkła Dąbrowa, zwiększają produkcję Łukowskie Zakłady Obuwia, Łukowskie Przedsiębiorstwo Budowlane i inne zakłady, ale nadal kilkaset kobiet bezskutecznie poszukuje pracy. Władze powiatowe są niemal bezradne. W całym powiecie dobrze rozwija się chałupnictwo, powiększają, w miarę swych możliwości, stan zatrudnienia różne spółdzielnie usługowe, ale radykalnie sytuację może poprawić jedynie umieszczenie w Łukowie jakiegoś dużego zakładu odzieżowego lub włókienniczego, tym bardziej, że do niedawna w Zasadniczej Szkole Zawodowej czynny był dział krawiecki. Setki krawczyń w powiecie poszukuje pracy.

— To nasza największa troska — mówi sekretarz Prezydium PRN, Stefan Płonecki...

W r. 1966 ma się rozpocząć w Łukowie budowę zakładów mięsnych — dwukrotnie większych niż lubelskie. Zatrudnią one za kilka lat ok. 2000 osób. I znowu sprawa bolesna. Zakłady miały być budowane w poprzedniej pięciolatce, jednak w związku z budową puławskich Azotów wszystkie roboty odroczono. Tymczasem jednak do szkół mięsnych w Lublinie zwerbowano sporo młodzieży, sądząc, że zanim ukończy ona naukę — zakłady będą gotowe. Teraz ta młodzież będzie szukać pracy w Lublinie, Zamościu itd. Nikt nie zawinił, Cygana powieszono.

W związku z budową zakładów mięsnych w całej północnej Lubelszczyźnie, a także w części województw warszawskiego i białostockiego, zmienia się rasę świń z puławskiej na rasy białe, mięsne. Zmiany te przebiegają powoli i opornie, może ruszą szybciej od przyszłego roku, kiedy ulegną wreszcie zmianie wskaźniki cen, dotychczas korzystniejsze dla ras słoninowych. Rozwija się także hodowla, chociaż jej wskaźnik w tym typowo rolniczym i bogatym w łąki powiecie jest nadal niższy od przeciętnej wojewódzkiej. Intensywnie prowadzone melioracje i zagospodarowywanie łąk poprawią zapewne wkrótce stan bazy paszowej. Ale to śpiew przyszłości, bo obecnie...

I znowu coś o łukowskich kłopotach. Szeroko i — słusznie zresztą — rozreklamowano sianie na łąkach nowych szlachetnych gatunków traw. Rolnicy, szybko przekonawszy się o opłacalności takich zmian, poczęli masowo orać stare, mało wydajne łąki. Rezultat? Sporo hektarów zaoranych łąk czeka, bo okazało się, że nie ma nie tylko dostatecznej ilości nawozów, ale nawet nasion traw... Rozczarowanie chłopów z pewnością utrudni w przyszłości niejedną słuszną inicjatywę. A przecież można te sprawy załatwić, choćby idąc za przykładem niezbyt odległej Białej Podlaskiej, o czym jeszcze napiszę. A już z pewnością można było zapewnić chłopom zaopatrzenie w środki owadobójcze. Tutaj wręcz warto poszukać winnych: stonka zjada ziemniaki, a chłopi klną. Jeśli gospodarz nie niszczy stonki na swym polu — można go ukarać. Kto ukarze gospodarzy powiatu? Za czyjeś niedbalstwo odpowie materialnie rolnik...

Zdrowie przede wszystkim

W ciągu ostatnich kilku lat buduje się w powiecie łukowskim wiele ośrodków zdrowia. Część z nich powstaje czynem społecznym. Wiele już pracuje, są świetnie wyposażone. Dyrektor szpitala w Łukowie, dr Kryński, z uznaniem mówi o trosce Prezydium PRN i KP PZPR o podniesienie poziomu życia osad i wsi. Szpital łukowski jest dumą mieszkańców miasta. Został on zbudowany kilka lat temu przez Łukowskie Przedsiębiorstwo Budowlane i w rekordowo krótkim czasie oddany do użytku. Szpital dysponuje 351 łóżkami, zespołem wysoko wykwalifikowanych specjalistów wszystkich dziedzin, znakomicie wyposażonymi laboratoriami. Obsługuje całe Podlasie. Dyrektor szpitala podkreśla wyjątkowe zgranie i ofiarność swego bardzo młodego, a liczącego prawie trzysta osób, personelu, którego duża część uzupełnia swe wykształcenie. Co miesiąc w szpitalu organizuje się dyskusje, demonstruje szczególnie ciekawe przypadki; przygotowuje się także prace naukowe. Wkrótce rozpocznie się budowa dużego (na 250 łóżek) szpitala psychiatrycznego; będzie on pracował w oparciu o już istniejące pracownie i laboratoria. Powstanie także wkrótce przychodnia obwodowa...

Łuków już dziś jest miastem pięknym. Wszędzie trawniki, kwiaty, drzewa, ulice są czyste, oświetlone. Jest kilka nowoczesnych bloków spółdzielni mieszkaniowej, efektowny budynek poczty i pawilon usług. A przecież 20 lat temu miasto było zniszczone w 80%. Dziś ludność miasta w czynie społecznym buduje nowe nawierzchnie ulic, sadzi nowe drzewa, dba o upiększenie miasta... Robi się bardzo dużo, widać też wyniki...

Wkrótce w Łukowie zostanie oddane do użytku muzeum regionalne. Niewątpliwie cennym obiektem dla turystów będzie remontowany właśnie dworek Sienkiewiczowski w Woli Okrzejskiej, w którym znajdzie miejsce punkt biblioteczny, muzealny i schronisko PTTK. Powstaje także ośrodek turystyczny w Stoczku, chociaż — jak dotąd — brak jakiegoś wspólnego kierownictwa poważnie utrudnia jego pracę.

Łukowskie jest niezwykle ciekawym regionem nie tylko ze względu na teraźniejszość. Jest w całym powiecie wiele pamiątek z przeszłości — wkrótce część z nich znajdzie schronienie w muzeum regionalnym, byle wykonawcy dotrzymali kolejnego terminu ukończenia remontu. W Łukowie jest wielu ciekawych ludzi, dość powiedzieć, że jeden z nich mówił mi o spotykanym w Genewie Leninie i Łunaczarskim, o swych kontaktach z Roncallim (późniejszym Janem XXIII), oraz innymi wielkimi naszego wieku. Tak, jest wielu lokalnych patriotów zdolnych do poświęceń na rzecz swego miasta, odniosłem jednak wrażenie, że ich działalność nie jest skoordynowana, że brak im jakiegoś usystematyzowanego i jednolitego planu działania. Może pomogłoby im większe zainteresowanie ze strony władz? Może wciągnięcie do współpracy młodzieży? Przecież wyniki ich pracy mogłyby być takie, jak np. w Białej Podlaskiej. Ale o tym następnym razem.

Wiesław Sadurski

ANDRZEJ ZABIEROWSKI

O stworzeniu człowieka

Na obraz i podobieństwo
urobiono ciało
i dano glinianą czaszkę
a potem oporniki wkręcono
i splątano kable wewnątrz brzucha
by ruch
z odrobiny energii wyzwolić
jak w odkurzaczu

potem błysnęła Siła Wyższa
i papier ścierny wzięła w dłonie
by zęby kształcić i paznokcie
a gałkom ocznym trochę blasku
dodać

potem pod czaszką rozum wkręcono
i zasilany ruchem świata
myślał

a potem zeżarł jabłko
i dziś za karę jest człowiekiem

Rzeszów

Fot. Z. Postępski

EDWARD STACHURA

SCHODZIŁEM wolno ze wzgórza. Spoczywałem tam. Leżałem zwalony i patrzyłem w niebo niebieskimi moimi oczami. Zapomniałem się cały. Byłem nieistniejący. Leżałem, spoczywając bez pamięci tak, jak w grobie nieznany żołnierz. Cześć mu oddaję i hołd, który jest w tym dumnym dla mnie porównaniu. Teraz schodziłem wolno ze wzgórza jakbym z nieba schodził na ziemię tą.

To wszystko jest prawda. Ale prawdy jest więcej. Całej prawdy nie znam. Kto zna, niech powie. Bo ja jej nie znam. Ja jestem tylko prawdomówny. Ale całej prawdy nie znam. Nawet w te dni, nawet w te dni boskie nie przeszło mi nigdy przez myśl, że znam całą prawdę. Nigdy mi się to nie zdarzyło. Więc mówiąc prawdę i tylko prawdę, całej prawdy powiedzieć nie mogę, bo jej nie znam i nie mogę znać. I chyba nigdy się nie dowiem. Mówię, co wiem.

To, co teraz powiedziałem, wygląda jakbym miał coś groźnego dalej do wyjawienia. Coś straszliwego: wielką katastrofę, nieszczęście jakieś ogromne, zbrodnię nieludzką, o której słuchając tylko albo czytając cierpnie skóra i włosy na głowie zaczynają kłuć jak szpilki. Jak nieraz od zimna. Tak wygląda to, co napisałem. Jakby to był wstęp do. Jakby to były słowa dla wysokiego sądu w sali, gdzie proces. Więc nie. Nie tyle to.

Zanim doszedłem do wzgórza, gdzie odpoczywałem, leżąc bez pamięci, zanim doszedłem do tego wzgórza, gdzie się zwaliłem bez sił, spoczywając bez pamięci, patrząc w niebo niebieskimi moimi oczami, zanim tam doszedłem, szedłem długo. Jeszcze dłużej. Za mną nic nie było. Nie uciekałem przed nikim ani przed niczym. Żadna panika mnie nie ścigała, ani sfora, ani ktoś pojedynczy. Przede mną też nic nie było w normalnym rozumieniu, w normalnym oczekiwaniu. Żaden punkt. Nie szedłem, żeby gdzieś dojść w normalnym rozumieniu. Żeby kogoś zobaczyć i ucałować ani, żeby się na kimś zemścić. Bóg mnie też nie prowadził. Nic. Nie szedłem do celu. Szedłem nigdzie. Szedłem długo. Jeszcze dłużej. Mówię, co wiem.

Więc mówiąc prawdę i tylko prawdę, całej prawdy powiedzieć nie mogę, bo jej nie znam. I chyba nigdy się nie dowiem dlaczego i po co przeszedłem dzisiaj ładne trzydzieści pięć, czterdzieści albo czterdzieści pięć, nie wiem, kilometrów, bo nie wiem ile zrobiłem, na słupy nie patrzyłem, czasu nie mierzyłem. Nie to miałem w głowie. W głowie miałem lekki szum. Na pewno. Na pewno nigdy się nie dowiem dlaczego dzisiaj nie dokończyłem, śniadania, nie dopiłem kawy, tylko wstałem i powiedziałem do gospodarza, żeby mnie obliczył i wypłacił ile się należy, bo odchodzę. Bo muszę iść. Wyszedłem na podwórze, podszedłem do płotu, zdaje się, oparłem się o sztachety, zdaje się i patrzyłem w pole, ale nic nie rozróżniałem: pierwszego planu, drugiego i tak dalej. Nie to miałem przed oczami. Przed oczami miałem wielką, nie wiem. Mówię, co wiem. Potem gospodarz mnie zawołał, zdaje się, powiedział parę słów, „tak jak żeśmy się zgodzili" — powiedział i dał mi pieniądze. Potem musiałem się chyba pożegnać, wziąłem bluzę z sieni, na podwórzu na pewno poszedłem pogłaskać psa. I wyszedłem na drogę. Szedłem długo. Jeszcze dłużej.

Tak doszedłem do tego wzgórza, gdzie się zwaliłem bez sił na wypaloną martwą trawę i leżałem, spoczywając, patrząc w niebo niebieskimi oczami. Teraz schodziłem wolno ze wzgórza jakbym z nieba schodził na ziemię tą. *)

Nóg zaiste nie czułem. Jakbym cały dzień szedł w kółko za końmi w manežu. Bo tak było. Niby szedłem cały dzień prosto drogą, ale właściwie to tak, jakbym szedł w kółko. Bo nigdzie nie chciałem przecież dojść. Nigdzie nie szedłem w normalnym rozumieniu. Mówię, co wiem. Całej prawdy nie znam. I jakby droga prowadziła w kółko, to bym przy końcu dopiero zauważył, że doszedłem tam, skąd ruszyłem. Albo i bym nie zauważył nawet i minął. Drugie koło zataczając. Bo nie to miałem w głowie. Nie o to mnie głowa bolała. Głowa mnie strasznie bolała o coś innego. O to jaki jest sens. O to moja głowa cała falowała i buchała ogniem. Jaki jest sens. O co tu chodzi w tej całej rozgrywce. O co tu chodzi w tym całym pakiecie nut. Kto tu może wygrać i co tu można wygrać. O co się toczy wojna. I jaki jest mój sens. To miałem w głowie. O to mnie głowa bolała już nie po raz pierwszy.

Idę. Jeszcze trochę. Bo kiedyś, wiem, kiedyś i to nie jest tak daleko, usiądę albo położę się i już żadna siła mnie nie ruszy. Bo skamieniejęę. Żadna siła mnie już nie ruszy. Nic mnie już nie zmusi, żeby wstać. Żeby powstać. I idę do tego prosto, nie zygzakiem, ale prosto drogą i czuję, że to nie musi być tak daleko, jeszcze trochę, jeszcze coś muszę przedtem zrobić, chociaż, tak mi się zdaje, że jak już będę siedział nieruchomo albo leżał, to na pewno mi przyjdzie taka myśl do głowy, że niepotrzebne mi to było, nie trzeba było, nie warto było; trzeba było od razu usiąść albo położyć się, jak tylko zobaczyłem co i jak, trzeba było od razu natychmiast usiąść nieruchomo albo się położyć gdzieś, na uboczu, albo zamurować się gdzieś, zarobić jak najprędzej trochę waluty, kupić cegły, wapno i cement i zamurować się gdzieś na uboczu. I cześć.

Tak myślałem dzisiaj idąc. Tak myślałem całą prawie drogę, trzydzieści dobre albo czterdzieści, nie wiem, kilometrów, nie patrzyłem na tablice, czasu nie mierzyłem. Prawie cały czas tak myślałem dzisiaj idąc. Już nie raz to miałem, wiele razy, ale pierwszy raz zacząłem o tym dokładnie. W szczegółach. Nie tyle jeszcze o czasie, ale o miejscu. Przypominałem sobie różne rozrzucone na uboczu miejsca i rozpatrywałem. Wybierałem. Brałem je pod rozwagę. Odrzuciłem wiele, a wybrałem dwa. Ale z tych dwóch nie mogłem wybrać, bo jedno mi wyglądało lepsze od drugiego. To, o czym ja teraz tu mówię, to tylko ja wiem, co to jest. Nie dlatego, że wiem to dokładnie i w szczegółach, że widzę jak na dłoni te dwa miejsca, jedno lepsze od drugiego i znam przybliżony czas. To, co ja teraz tu mówię, to tylko ja wiem, co to jest. Dużo tu padnie nie — tych spojrzeń. Ale może jednak jedna para oczu albo dwie.

Więc to miałem w głowie całą prawie drogę. Nic innego, tylko to. Uznałem, że to jest dla mnie najlepsza rzecz i jedyny sens. Uznałem, że lepszego dla mnie, gołębia, wyjścia nie ma. Bądź co bądź i wszystko wszystkim. Uznałem, że ja przecież zawsze będę miał oczy i uszy otwarte, i rozum, i to, gdzie mi się tętno szamoce, i nigdy się na to nie zgodzę, co jest. Nie dlatego, że nigdy nie poznam całej prawdy, bo to jest jasne. Z tym się zgadzam. Z tym się zgodziłem dawno, długo nie myśląc albo wcale. Z tym się może nawet urodziłem oczywiście. Bo to jest los każdego, czy chce, czy nie chce. Na to nie ma rady. To jest jasne. To jest ze wszystkiego najjaśniejsze. Całej prawdy się nigdy nie pozna. Z tym się urodziłem i z tym się rodzi każdy. I z tym każdy umiera. To jest przy śmierci tak samo najjaśniejsza świeca.

Więc nie dlatego się nigdy na to nie zgodzę, że nigdy całej prawdy nie poznam, że nigdy nie będę wiedział wszystkiego. Bo wiem, że tak jest i tak musi być. Niezależnie. Obojętnie co. Wiem, że umrę z tym i że urodziłem się z tym. Ale nie urodziłem się padalcem. I nie urodziłem się różą. I nie urodziłem się szczurem. Piękną hortensją. Tylko tym, czym jestem. I nie urodziłem się szakalem, hieną. I nie urodziłem się wilkiem, potężnym dębem, gonną olchą. I nie urodziłem się niczym innym. Tylko tym, czym jestem. I nie urodziłem się z pozorami. Tylko z nerwami. Z nerwami tuż pod cieniutką skórką.

Uznałem. Uznałem dzisiaj idąc, że przecież nigdy się na to nie zgodzę, żeby być czym innym, niż jestem, a od czego się roją półkule. Ani na to, ani tak samo na to, że: jakoś to będzie, jak pan Bóg da zdrowie, a Matka Boska pieniądze, coś się musi zmienić, byle do wiosny. Uznałem, że tysiąc razy wolę przeminąć jak kometa. Tysiąc razy wolę mignąć tylko jak meteor i wsiąknąć w niezgłębione mgły. Całej prawdy nie znam. Mówię, co wiem.

Uznałem to i uznałem, że najlepsza dla mnie rzecz i jedyny sens jest usiąść. Usiąść gdzieś na uboczu, oprzeć się o drzewo albo o skałę, albo położyć się na trawie, na liściach, walnąć się na ziemię i już tak zostać bez ruchu, leżeć nieruchomo i przypomnieć sobie wszystko, wszystko wszystko, wszystko co tylko, zebrać, przywołać ze wszystkich stron zakątków, wielki apel pamięci zrobić, aż urośnię jak balon i uleci w powietrze. I wtedy już spokojnie, cicho, tak jak przystało, godnie wsiąknąć w glebę jak majowy deszcz.

Uznałem, że to będzie najlepsze dla mnie uznanie.

To, co ja teraz tu mówię, dużo tu padnie nie — tych spojrzeń. Ale może jedna albo dwie par oczu. Bo to jednak nie jest wszystko jedno.

Więc tak myślałem dzisiaj idąc całą drogę. To miałem w głowie i przed oczami. Ten obraz. Szedłem prosto drogą i patrzyłem przed siebie, naprzód, nie rozglądałem się na boki, za ramy. Tak szedłem długo. Jeszcze dłużej. Mijałem wioski, kury, gęsi, owce na samym środku szosy, krzyże, kapliczki przydrożne, jakieś większe miasto, nie wiem, nie pamiętam dokładnie, całej prawdy nie znam i nie to miałem w głowie i przed oczami. Przed oczami miałem tylko jedno patrzenie. Proste. Tam, gdzie lśniły mi te dwa miejsca, które wybrałem, rozpatrywałem dokładnie z dwudziestu i więcej, i dalej nic, nie mogłem z tych dwu teraz wybrać, jakby się coś we mnie chciało sprzeciwić i stawiało mi barierę, nie ścianę gładką pionową nie do przejścia, ale barierę, przeszkodę, żeby tylko trochę opóźnić. To rozumiem. Rozumiem i wybaczam. Zrozumiałem, że na pewno jeszcze będzie kilka takich przeszkód: żeby tylko trochę opóźnić. I że one mogą swoje zrobić. Mogą mi wszystko trochę opóźnić. Ale zrozumiałem to i wybaczyłem.

Szedłem prosto dalej. Potem szedłem jak we śnie, a jeszcze potem szedłem właściwie tak, jakby to już się stało. Jakby już mnie nie było. Jakbym to nie ja szedł, tylko mój cień złocisty. Ten sam, który długo po mnie będzie się tułał.

Tak doszedłem nie do wzgórza jeszcze, gdzie zwaliłem się bez sił i spoczywałem jak w grobie nieznany żołnierz. Cześć mu oddaję i hołd. Więc tak doszedłem nie do wzgórza jeszcze, ale już niedaleko i gdybym podniósł głowę, to może bym je zobaczył. Tak doszedłem do tego miejsca, gdzie zwaliłem. Gdzie zwolniłem kroku i potem coraz bardziej i już szedłem wolniutko, wycierając bluzą spocone czoło i kark.

To nie była myśl — olśnienie, która kiedy już wyskoczy jasna i prosta się wydaje i jest, i zdziwienie wielkie ogarnia, że od razu nie przyszła do głowy, tylko tak długo się chowała w zakamarkach, aż wyskoczyła jak olśnienie.

To nie był też błysk jaki mam czasami. Taki naraz błysk lekki jak dotyk jedwabiu, ledwie, ledwie, który próbuję zatrzymać i jak mi się uda, to próbuję dalej: obracam go na wszystkie strony, próbuję go ze wszystkich stron czy się za nim coś nie kryje: jakaś mądrość. Jakaś prawda ogólna.

To nie był też cud, którę podobno są, ale ja nie miałem. I nigdy nie widziałem jak długo żyję w tęsknocie.

To był chyba mój los niezłomny i delikatność.

Najlepsza to jest dla mnie rzecz i jedyny sens to, co chcę zrobić Na pewno. To wszystko jest prawda. Najlepiej jest iść prosto tam, gdzie się chce i nie oglądać się na boki, nie schodzić z toru, nie skręcać, tylko iść prosto najkrótszą drogą. To wszystko jest prawda. To się zgadza. Ale czy nie ma tu niesprawiedliwości? I czy to nie jest dla mnie najłatwiejsze? Więc czy nie ma tu niesprawiedliwości?

Jeszcze raz mówię i mówię, co wiem, że to wszystko jest prawda, co mówiłem i co uznałem. To, że się urodziłem tym czym jestem, niczym innym od czego się roją półkule, tylko tym, czym jestem. Z nerwami pod cieniutką skórką. To, że zawsze będę miał oczy i uszy otwarte, i rozum, i to, gdzie mi się tętno szamoce, i nigdy się nie zgodzę, to wszystko jest prawda. To, że kiedyś mogę, sam nie wiem, to wszystko jest prawda.

Ale prawdy jest więcej. Całej prawdy nigdy nie poznam, to wiem, to jest jasne, ze wszystkiego najjaśniejsze. Ale tyle ile można, tyle trzeba poznać, chociaż na pewno najlepiej byłoby usiąść gdzieś na uboczu, oprzeć się o drzewo lub skałę, albo położyć się, walnąć się na ziemię od razu i tak zostać, więcej nie wstać, tylko leżeć nieruchomo, zebrać całą pamięć, wielki apel pamięci zwołać i potem wypuścić wszystko w powietrze jak balon i wtedy już spokojnie, cicho, tak jak przystało, godnie wsiąknąć w ziemię jak majowy deszcz. Tak by było najlepiej na pewno i to jest jedyny sens. Ale tu jest niesprawiedliwość, mówi mi delikatność. Tu jest jednak niesprawiedliwość. Tak nie można, mówi mi delikatność.

Tyle, ile można, tyle trzeba prawdy poznać. Tyle ile można, tyle trzeba wypić, chociaż bardzo często napój to jest, mówię, co wiem, sama niewdzięczność. Ale tyle ile można, tyle trzeba wypić. Tak jest najgorzej, ale tak jest sprawiedliwie, mówi mi delikatność. Tu już na razie nie mogę ci zarzucić, niczego, mówi mi delikatność.

Tak właśnie doszedłem wolniutko do wzgórza, wycierając rękawem szyję i czoło, z którego się lało. Na górze był grób, krzyż i tabliczka, że leży tu nieznany żołnierz. Cześć mu oddałem i hołd i zwaliłem się obok na suchą, wypaloną trawę. Leżałem długo, bez ruchu, bez pamięci patrząc w niebo. Spoczywałem tak, jak on spoczywał i tak jak chciałem już nieraz, wiele razy i jak dzisiaj o tym myślałem całą drogę, czterdzieści może kilometrów. Ale już nie.

Teraz schodziłem wolno ze wzgórza jakbym z nieba schodził na ziemię tą. Było popołudnie. Słońce też powoli schodziło z nieba za ziemię. I było też popołudnie lata więc i lato wolno, dzień po dniu, schodziło za kotary. Ja zszedłem pierwszy. Ciężkim krokiem.

*) Redakcja „Kameny" na prośbę autora nie dokonywała żadnych poprawek w tekście, nawet w interpunkcji.

Opowiadanie wyjęte z tomu pt. „Falując na wietrze", który ukaże się nakładem wydawnictwa „Czytelnik".

William Shakespeare

Sonet XXI

So is it not with me...

Tobie Muza inaczej niźli mnie świadczyła
Pędzlem piękna malując poetycki profil,
A niebo na ornament swych kras użyczyło
Każde piękno z twym pięknem wplatając w bieg chwil.

I dumne porównania stają się stadłami
Z księżycem słońce, mórz bogactwa z ziemią,
Lub pierwszych pączków wiosny z rzadkimi rzeczami
Zamknięte niby wichry w wielki krąg przestrzeni.

Pozwólcie mnie, stałemu w uczuciach i słowie,
dać dowód, że ma miłość jest równie tak wierna
jak matki do jej dziecka, jak gwiazd żywych mrowie
white niby świec złotych w nieba wielki bezmiar.

Niech one tym powiedzą, co to wiedzą lepiej,
Że cel mój to nie towar sprzedawany w sklepie.

Sonet XXV

Let those...

Dla tych honory, co pod swoją gwiazdą
pychą nadęli samochwalstw tytuły.
A mej pociechy i radości zwiastun
tkwi w złej goryczy, że los mi nieczuły.

Ulubieńcy wielmożów swe liście wawrzynu
muszą ku nim obracać jak kwiaty do słońca,
I ciągle być ostrożni, by niezręcznym czynem
nie wywołać ich gniewu i faworów końca.

Wielką klęską żołnierza, co w bitwach zwyciężał,
jest jeden krok niesławny. Mimo przewag wielu
z księgi chwały wymażą zasługi oręża
i wrzucą bez skrupułów w zapomnienia czeluść.

A jam pełen radości — bom w miłość zaklęty
Nie mogę jej odrzucić lub być odsunięty.

Sonet XXVI

Lord of my love...

Bóstwu mojej miłości składam w kornej dani
to, co łączy zasługę z obowiązkiem twardym
Dla ciebie otrzymałem poselstwo pisania,
obowiązek świadczenia — nie popisów hardych.

Czy podołam zadaniu? Obym słów ubóstwem
nie odarł z szaty piękna — co pięknem być miało
Choć wierzę że i Twoje urojenia puste
Są słowem wyobraźni co staje się ciałem

Do olśnienia mnie moje prowadzi wzruszenie
i kończy wydobyciem istotnego kształtu
Me obdarte kochanie w wyraz piękna zmienia
Znikają wątpliwości którem dotąd miał tu.

Więc czy aktem odwagi jest moje wyznanie
Że głowę mą położę za Twoje kochanie?

Z oryginału przełożył:
Wacław Gralewski

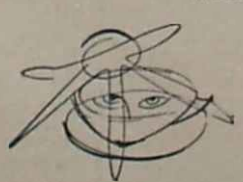

Opętanie poezją czyli tajemnica KONSTANTEGO

(Dokończenie ze str. 3)

z sukcesów, podobny w tym zachowaniu się do dziecka. A nikt inny nie cieszył się takim wzięciem, co on, chyba Władysław Broniewski. Obaj byli mistrzami recytacji, obaj deklamując dawali przede wszystkim siebie.

Z Krakowa przeniósł się Gałczyński do Szczecina, który do dzisiaj chlubi się faktem, że poeta był przez parę miesięcy jego mieszkańcem. I do dzisiaj kult poety jest w tym mieście żywy, rokrocznie organizowane są festiwale poezji Gałczyńskiego. Ale tu przeżył autor *„Zaczarowanej dorożki"* pierwszy po wojnie cios — 3 czerwca zapadł na zawał serca. Przewieziony następnie na kurację do Warszawy, nie wrócił już nad Odrę i osiedlił się w stolicy, gdzie otrzymał mieszkanie przy Alei Róż 6. Jest nadal czynny i mimo przebytej choroby wyjeżdżał dwukrotnie — do ZSRR i do Czechosłowacji. Wiosną 1949 roku odwiedził po raz pierwszy słynny pałac w Nieborowie. Najsilniejsze wrażenie zrobiła na nim głowa Niobe, córki frygijskiego króla Tantala, a żony Amfiona, króla Teb, jak głosi mitologia. Wykuta w białym marmurze jest ta rzeźba znakomitą kopią wspaniałego oryginału greckiego, który zaginął przed wielu wiekami. *„Widząc, jakie wrażenie wywarło na Gałczyńskim to dzieło* — wspomina kustosz Muzeum, dr Jan Wegner — *zapytałem mimochodem, czy nie napisałby wiersza właśnie o Niobe z Nieborowa. Nic mi na razie nie odpowiedział".*

Naraz odmienił się zupełnie czas i nastał dla Gałczyńskiego okres fatalny. Po zmianach w polityce, po 1949 roku poeta stał się nagle obywatelem drugiej kategorii. Rozumiem, co musiał czuć, kiedy go obrzucano epitetami *„faszysta"*, *„drobnomieszczański kanarek"*, któremu należy ukręcić łeb. Był to czas, kiedy recenzje stawały się laurkami wystawiającymi „świadectwo prawomyślności", zaś referaty zjazdowe nabierały znaczenia aktów oskarżenia, wytaczanych przez prokuratorów — amatorów na ochotnika.

Podobny do starego sępa, delektującego się padliną, poeta a zarazem „terroretyk" sztuki pastwił się specjalnie nad Gałczyńskim. Przeciwnicy autora *„Zaczarowanej dorożki"* czując za sobą poparcie władzy, ukazali swoje prawdziwe oblicze — nienawiść. Ofiarą tych rozgrywek padł entuzjasta Gałczyński, nie chciano już drukować jego utworów, mimo iż rzucał *„kwiaty na tor rewolucji"* i nawet jej — w przeciwieństwie do Jesienina — chciał oddać swoją lirę. Osaczony przez nieżyczliwych mu, zawistnych i małostkowych ludzi, pamiętających każdy werset jego wierszy z *„Prosto z mostu"*, Gałczyński nawet nie próbował się bronić. Był w sile wieku i rozkwicie swego talentu. Wydarzenia, jakich byliśmy świadkami, przerastały fantazję poetów; nauczyliśmy się w tym okresie cenić bardziej charakter niż dorobek twórczy i talent. *„Im kto był znaczniejszy, tym większą obłudę i gorliwość okazywał"*, jak ongiś pisał Tacyt. Ten okres 1949—1954 czeka jeszcze na swego kronikarza.

Gałczyński odczuł go aż nadto wyraźnie. Zamilkła tak popularna *„Zielona Gęś"*, odsyłano poecie wiersze, zastanawiano się nad wydaniem poematu *„Niobe"*, który Gałczyński w tym czasie napisał. Piękna rzeźba z Nieborowa, przedstawiająca głowę nieszczęśliwej matki, której dzieci „rozstrzelali" bogowie, posłużyła poecie za pretekst do wyrażenia twórczego buntu. Miał tyle siły w sobie, ażeby się nie poddać wewnętrznie i aby swój ból wyrazić poprzez cierpienia mitycznej królowej. Ale tym, w co gorąco mimo wszystko wierzył, pozostała sztuka i jej właściwie poświęcony jest ten poemat o zwycięstwie poezji.

Śpiewaj, Niobe, struny swymi,
mą piszczałkę, także weź ją.
Kto ci może co uczynić,
kiedy jesteś wieku pieśnią!
Ziemia blisko. Pieśni blisko.
Pieśń się śmieje z bomb i kul.
„O, radości, bogów iskro,
gwiazdo elizejskich pól!"

Pamiętam, jak szliśmy w tym okresie z Gałczyńskim, panią Natalią i Tadeuszem Kubiakiem ośnieżonymi ulicami Warszawy na wspólny wieczór autorski w budującym się gmachu KC PZPR, dla załogi tego obiektu. Było to w czasie plenum Związku Literatów i pisarze polscy udali się na spotkania z robotnikami, które odbyły się, albo i nie. Pakamerę w Alejach Jerozolimskich zastaliśmy zamkniętą, nawet dozorca nie potrafił nam wytłumaczyć, dlaczego nikt nie przyszedł na nasz wieczór autorski. Widziałem sarkastyczne skrzywienie ust Gałczyńskiego i nam było głupio, nie za nas, nie za siebie, lecz za tych, którzy zlekceważyli wybitnego poetę. A szedł on do nich z taką nadzieją, że będzie mógł dla nich czytać swoje utwory.

Były to smutne lata w życiu Gałczyńskiego, smutne, ale bynajmniej nie chude. Bo nie załamywał się jako poeta i pisał, ale człowiek zapłacił zdrowiem za ten ostracyzm. Dopiero 19 grudnia 1951 roku odbyła się w Związku Literatów Sekcja Poezji poświęcona twórczości Gałczyńskiego. W samej nazwie było już coś nieprzyjemnego, często mówiło się z gorzką ironią *„sekcja zwłok"*. Były to smutne widowiska, smutne w swym intelektualnym obskurantcwie. Przejrzałem stenogram tej z 19 grudnia, przypomina ona na ogół ponurą groteskę, aczkolwiek przecież była doniosłym wydarzeniem w życiu Gałczyńskiego. Bo energia i odwaga Jerzego Putramenta sprawiły, że z tej Sekcji wyszedł autor *„Niobe"* obronną ręką. Sprawozdanie z niej, prawie na dwie kolumny, zamieszczone w *„Nowej Kulturze"*, jak i opublikowane jednocześnie trzy wiersze, stały się przełomem. Anatema została z Gałczyńskiego zdjęta. Wychodząc z Domu Literatury po tej Sekcji, Gałczyński szepnął: *„Chciałbym zobaczyć freski w Ravennie"*. To chwilowe szczęście, tę rzeczywistą pomoc koleżeńską i wyrażenie mu życzliwości przypłacił w konsekwencji ponownym zawałem serca.

W dwa lata później, listopadowego dnia 1953 roku, przyniosła uradowana Anna Kamieńska do redakcji *„Nowej Kultury"* nowe wiersze Gałczyńskiego, jego słynne *„Pieśni"*. Obserwowaliśmy z podziwem w tym okresie nowy wybuch sił twórczych poety, nie było prawie tygodnia, żebyśmy nie otrzymali do druku jakiegoś nowego utworu. *„Pieśni"* nie zostały jednak wydrukowane na stronie pierwszej, naczelny nie miał odwagi. Zdecydował po długich wahaniach, że Gałczyńskiemu może poświęcić stronę trzecią, ale zgodził się na to, ażebym zamówił u Jana Marcina Szancera przerywniki. W niewiele tygodni później szykowaliśmy już, boleśnie zaskoczeni, pierwszą kolumnę tygodnika, na której w żałobnych obwódkach widniała fotografia Poety.

Zawiść i małość ścigały go również po śmierci. Dostał jakieś mizerne odznaczenie, padło cichym brzękiem na wieko trumny spuszczanej do grobu w bocznej alei cmentarza wojskowego. Zgromadziło się niewiele osób, wielbiciele jego poezji, ci, którzy odczuli jego stratę osobiście. W gałązkach brzóz plątało się wśród mgły niewyraźne słońce. Pięknie przemówił Iwaszkiewicz i drżącym ze wzruszenia głosem stwierdził, że *„na takiego poetę nieprędko zdobędzie się nasza w poezję obfita ziemia"*. W bramie cmentarnej stanął Julian Tuwim, dźwigając wieniec. Uderzała jakaś upiorna bladość jego twarzy, ściętej bólem. Szepnął: *„To pogrzeb największego poety polskiego!"*

Odchodząc znad grobu Natalia wzięła jakiś kwiat. Szła wolno — Niobe zamieniona w żałość.

Lesław M. Bartelski

Z książki „W kręgu bliskich", która ukaże się nakładem Wydawnictwa Literackiego.

STEFAN WOLSKI

Kłaniam się archaniołom

Nie chodzi, oczywiście, o archaniołów niebieskich. Ostatnio w sposób nader interesujący pisał o nich Anatol France i bynajmniej nie zamierzam krzyżować z nim pióra. Mam na myśli archaniołów Kazimierza Dziewanowskiego, a właściwie archaniołów i świętych z Faras, a jeszcze ściślej jego reportaż sprzed potopu, który pt. „Archanioły i szakale" wydały „Iskry" w znakomitej serii „Naokoło świata".

SŁYSZAŁEM już coś niecoś o tej książce jednego z czołowych dziennikarzy — obieżyświatów, którzy nie tylko mają coś do powiedzenia czytelnikom, lecz umieją to powiedzieć w sposób atrakcyjny świadczący o tym, iż kunszt wielkiego reportażu również święci zasłużone triumfy w naszym dwudziestoleciu.

„Archaniołów" przeczytałem jednym tchem, nie tylko dlatego, że Dziewanowski trafia tą książką w dość popularne u nas zainteresowanie archeologią; autor poruszył we mnie struny dumy narodowej, tej oczywiście zdrowej, nie wybujałej ponad wzrost rzeczywistości.

Sprawa dotyczy wielkiego sukcesu naszej archeologii w Faras, a więc w Nubii, nad Nilem. Sukcesu wiążącego się z budową Wysokiej Tamy pod Asuanem. Dziewanowski pisze: „Faraonowie i Nasser. Związek Radziecki i Ameryka, ekonomia, polityka i ideologia, najdawniejsza historia ludzkości i jej dzisiejsze dzieje: oto jest tło, na którym rozgrywają się wydarzenia".

To doskonale charakteryzuje nie tylko sprawę Wysokiej Tamy, lecz i poszczególne tematy na szlaku reportażu Dziewanowskiego.

Nauka wiele dziś wie o przeszłości świata i człowieka. Potrafimy dość śmiało poruszać się w labiryncie tysiącleci i wiele tajemnic przeszłości zostało już rozszyfrowanych i doprowadzonych do syntetycznych ujęć. A jednak to, co nam o tych tajemnicach opowiada Dziewanowski, jest bardzo frapujące. Zainteresowanie budzą również dzieje współczesne. Weźmy na przykład historię nacjonalizacji Kanału Sueskiego, wartki tok zdarzeń, który chwilami groził katastrofą nowej, wielkiej wojny.

„Archaniołów" czyta się naprawdę z zapartym tchem. A owi archaniołowie, to rezultat prac naszej ekipy archeologów pod „dowództwem" profesora Kazimierza Michałowskiego. Francuski tygodnik „Paris Match" pisał (powtarzam za Dziewanowskim):

„Nikt tego nie oczekiwał. Przybyłe z całego świata ekipy archeologiczne podjęły wykopaliska w piaskach Nubii, które zostaną pokryte przez wody Nilu... Szczęśliwy los przypadł w udziale ekipie polskiej. W pobliżu małej oazy Faras, trzysta kilometrów od tamy, pustynia odsłoniła cudowny kościół bizantyjski w nienaruszonym stanie, złożony w piaszczystym grobowcu, w którym pogrążał się z wolna w ciągu dziesięciu wieków..."

Ten cytat wyjaśnia wszystko. Należało odkryć, co się tylko da, ocalić od potopu to wszystko, co jeszcze kryją piaski pustyni, a co jest dla człowieka bezcenne. Tak oto i polska ekipa archeologów obok wielu innych rozpoczęła start uwieńczony niezwykłym sukcesem.

Autor „Archaniołów" szczegółowo opowiada o poszczególnych członkach ekipy, o tym, co każdy robi w Faras, omawia samo wykopalisko i owe freski z „Bożym Narodzeniem" na czele, wizerunki „Trzech Królów" i pasterzy, biskupów na freskach, liczne napisy, które trzeba było odcyfrowywać z benedyktyńską cierpliwością. Część fresków według konwencji zostanie na miejscu u gospodarzy, część popłynie do Polski; znajdą się one w warszawskim muzeum prawdopodobnie w bieżącym roku. A warto dodać, że sam proces „zdejmowania" ze ścian fresków jest majstersztykiem nie lada. Zajmuje się tym jeden z członków ekipy, Józef Gazy, a Dziewanowski przy pomocy pióra utrwala nieomal w sensacyjny sposób etap po etapie całą procedurę „zdjęcia".

I pomyśleć, że tak cenne prace naszych uczonych bynajmniej nie otwierają przed nimi szeroko ludowego skarbca. Cieniutki strumyczek dewiz płynie, a raczej cyka do kasy ekipy. Dopiero po jej kilkuletniej pracy, nasze Ministerstwo Kultury po wielu targach i namysłach zgodziło się wysłać do Faras polskiego dziennikarza. Szkoda gadać ilu cudzoziemskich asów reportażu było tam przed nim; każdy miał przecież do przekazania swoim czytelnikom nie lada sensacje. My w kolejności razem z Dziewanowskim musieliśmy na ten wspaniały reportaż czekać kilka lat...

Jeszcze zapoznaje nas Dziewanowski z jednym z najcenniejszych odkryć archeologów w Nubii: ze świątynią w Abu-Simbel. Była ona poświęcona bogom: Amonowi i Harachte. Wzniósł ją zaś przed trzema tysiącami i trzystu laty ku własnej chwale Ramzes II, którego wizerunek zaklęty w gigantyczne posągi już na wstępie powtarza się czterokrotnie. Potem wewnątrz świątyni siedzi znów w postaci kolosa kamiennego u boku Amona, Harachte i Ptah. Zaiste był to obłęd, jakieś niepojęte szaleństwo sięgnąć w ten sposób po nieśmiertelność. A jednak świątynię trzeba ocalić. Głowią się nad sposobem jej ocalenia najtężsi architekci świata. Dziewanowski mówi o wielu projektach; wśród nich jest i polski, oceniony na 30 milionów dolarów. Projekt włoski był najśmielszy, ale i najdroższy. Polegał on na wycięciu całej świątyni ze skały i podniesieniu całego bloku przy pomocy hydraulicznych lewarów. Ale to miało kosztować 66 milionów dolarów. Projekt upadł.

Reportaż „sprzed potopu" Dziewanowski zakończył ukazaniem wizji Egiptu przyszłości, przed którym Wysoka Tama otworzy niebywałe możliwości rozwojowe.

Rozpisałem się o książce, która stała się dla mnie namiastką podróży do Egiptu. Jestem za to wdzięczny autorowi. Nie starczyło miejsca na słowo o innych książkach z serii "Naokoło świata", którymi „Iskry" mogą się szczycić. Napiszę o nich innym razem, uważam bowiem, że ciągle jeszcze te wydawnictwa nie są u nas należycie doceniane.

JAN BIAŁOBORSKI

Hobby i człowiek

OLUBELSKICH kuriozach mówiło się jak o pokładzie węgla, o którym się wie, ale który mimo to nie jest eksploatowany. Już tak mówić nie można. Znalazł się przedsiębiorca, który na tym terenie pozakładał swoje odkrywki czerpiąc żwawą ręką wysokoprocentowy kruszec. Przedsiębiorcą jest dziennikarz lubelski, od niedawna laureat nagrody Bruna, Romuald Karaś, a miejscem, gdzie zdeponował produkt swojego eksploratorskiego trudu — jego książka „Widok z bramy optymizmu" zawierająca rozmówki z dwudziestoma siedmioma wyróżniającymi się mieszkańcami naszego województwa.

Jeśli mówimy, że mieszkańcy ci się czymś wyróżniają, i że książka w zasadzie zawiera spojrzenie w przeszłość, od razu wiemy w czym rzecz. Jakoś ten fin de siècle ze swym dwudziestowiecznym pobliżem bardziej obfitował w „prototypy" charakterów, aniżeli czasy nam współczesne, kiedy można mówić raczej o „produkcji seryjnej". Dlaczego? Niech wyjaśnią socjo- i psychologdzy. Faktem jest, że pół wieku temu indywidualność widziało się w sposobie noszenia melonika, podczas gdy dziś nawet w koszulach z sex-bombami, z kawałkami amerykańskich gazet, z całym tym tekstylnym tatuażem — indywidualności nie widać.

Pozostawał więc w ukryciu sezam lubelskich ciekawostek trochę z lenistwa, a trochę ze świętości. Raz — nikt nie podejmował się trudu wyprawy w krainę melonika, dwa — trochę obawiano się wkroczenia na teren siwowłosego bożka temporis perfecti. Karaś szurum — burum jednym zamachem zmącił ów podwójny spokój wyruszywszy przed siebie — a właściwie: za siebie — uzbrojony tylko w ołówek i notes.

Co powstało? Powstała książka o ludziach powiększająca grono lubliniaków tj. „interludiów lubelskich" Wydawnictwa Lubelskiego o jedną ciekawą pozycję. O ludziach, gdyż człowiek jako indywidualność to dziennikarski konik Romualda Karasia. Jeśli chcesz, zacny czytelniku, zawrzeć znajomość z Wiktorem Ziółkowskim, Wandą Papiewską, Kazimierzem Andrzejem Jaworskim, Grzegorzem Leopoldem Seidlerem i jeszcze dwudziestoma trzema innymi ludźmi, którzy budują, organizują, zbierają i ostrzą — przeczytaj tę książkę napisaną o rozmowie, ale bez gadulstwa, o zasługach, ale nie w tonie hymnicznym, o trudnościach, ale nie w sposób lamentliwy. Vide tytuł. Optymizm patronuje książce już z okładki. I już z obwoluty uśmiecha się autor, jakby tym sygnałem chciał zastrzec, że pesymistom na teren jego publikacji wstęp wzbroniony. Dodatni bilans, a przynajmniej dodatnie pozycje w bilansie ludzkiego życia — to przede wszystkim wyakcentowuje autor w galerii swoich portretów. Cóż, choćby zostały tylko dwie dobre anegdoty, to już życie ludzkie nie zostało przeżyte na próżno.

Ale nie tylko czasu przeszłego użył Karaś do plastycznego dzieła swego dziennikarstwa. Lubelszczyzna to już od dawna nie rezerwat socjologicznych i etnograficznych reliktów, nie skansen zacofania w rolnictwie, ale żywy punkt w geografii polskiego przemysłu. Z tej pozycji Karasiowi tym sposobniej było wystartować ku temu, co zapowiada i przynosi z sobą przyszłość. I przyszłość tę chwyta in statu nascendi, w dniu jej dzisiejszych narodzin. Kiedyś, kiedy puławskie zakłady będą skończonym kombinatem o ustalonej reputacji w kraju, z uśmiechem weźmie się tę książkę do ręki, by powrócić do czasów zagajnika koegzystującego z buldożerem. Zresztą tsssttt... O „Azotach" Karaś ponoć przygotowuje oddzielną publikację więc na ten temat już koniec, by nie „zamówić".

Ale już dziś można powiedzieć, że szkice lubelskie zawarte w „Widoku z bramy optymizmu" wypadły pomyślnie prezentując rysunek zwięzły, treściwy i sugestywny. Nie wykluczone, że fortunny to wstęp do panoramy mającej ukazać przedmiot w formacie większym, z udziałem znaczniejszego zasobu reporterskiego doświadczenia.

Romuald Karaś: „Widok z bramy optymizmu", Wydawnictwo Lubelskie, 1965, str. 196, cena 14 zł.

od BIEBRZY po BIESZCZADY

BIAŁYSTOK

◆ 250 odczytów w ciągu 7 miesięcy w jednym powiecie to chyba bardzo dużo. A takim dorobkiem może się już poszczycić powiatowy oddział TWP w Łomży.

◆ MRN w Nowogrodzie obiecująco wystartowała w nowej kadencji. Pierwszym obiektem inwestycyjnym oddanym do użytku będzie dom kultury. Na budowę przeznaczono m. in. całoroczny zysk z kina społecznego przy miejscowej świetlicy. Taka uchwała należy, niestety, do rzadkości, bo na ogół z kultury chętnie bierze się pieniądze, a bardzo niechętnie na nią daje.

◆ Kilkanaście świetlic w pow. grajewskim (w innych bywa także) korzysta z gościnności remiz strażackich. Pięknie — ale żadna z nich nie posiada pieca. Co więc będzie w zimie?

◆ Jesienią mają powstać w Białymstoku kino dobrych filmów oraz klub miłośników wąskiej taśmy. Bardzo to potrzebne w popularyzowaniu twórczości filmowej.

◆ Z 8 obrazów, przesłanych przez grupę plastyków białostockich na wystawę ogólnopolską „20 lat PRL w plastyce" — 4 zostały zakupione, ponadto Dorota Łabanowska otrzymała nagrodę Ministerstwa Kultury.

◆ 40 studentów etnografii oraz naukowcy polscy, radzieccy, jugosłowiańscy i czescy zbierali w lipcu w 4 wsiach powiatu grajewskiego materiały, dotyczące regionalnego budownictwa, rzemiosła, sztuki ludowej itp.

KIELCE

◆ Dyskusyjny Klub Filmowy w Kielcach jeszcze w zimie miał 150 członków, przed urlopami — zaledwie 30. Powód — CWF wypożycza tylko filmy, wyświetlane już na ekranach normalnych kin. Dlaczego tzw. pula specjalna nie dociera do Kielc — trudno zgadnąć.

◆ Jadwiga Kosiarska z Iłży od 20 lat wykonuje ciekawe figurki z gliny. Jej wyroby były wystawiane w Moskwie, Rzymie i Paryżu. Używa ona m. in. — co należy do niezwykłych rzadkości — sztucznie barwionej gliny, a figurki wykonuje nie w całości, a z poszczególnych elementów.

◆ W budynku szkoły, do której uczęszczał Żeromski, otwarto muzeum, poświęcone jego szkolnym latom. Są więc rekonstrukcje tornistra i mundurka, jakie on nosił, ówczesne podręczniki, a także pierwodruki jego książek.

◆ Stara i piękna kapliczka w Obiegorku dosłownie rozlatuje się. Cała jest jeszcze tylko jedna ściana. Ale nikt nie zabiera się do remontu.

◆ Zespół pieśni i tańca z FSC w Starachowicach zdobywa sobie coraz większą popularność. Świadczy o tym taki kalendarzyk występów: lipiec — Kielce, sierpień — Bytom, wrzesień — województwo szczecińskie, październik — Węgry.

LUBLIN

◆ W lipcu jedynymi imprezami kulturalnymi do oglądania w Lublinie były — przedstawienia cyrkowe. Teatry były zamknięte na cztery spusty, Estrada na urlopie, wśród turystów ani jednego zespołu z gościnnymi występami!

◆ PDK w Chełmie — chyba jako jeden z nielicznych w Polsce — zorganizował sobie własny ośrodek wczasowo-wypoczynkowy, przyjmując innych pracowników kultury. No cóż — pracownicy od rozpowszechniania kultury to też ludzie, o czym nie wszyscy przy podziale wczasów pamiętają.

◆ Wydawnictwo Lubelskie wypuściło pierwszy tom „Przeglądu Lubelskiego", który ma ukazywać się co roku. Pierwszy numer zawiera publikacje o ludziach i zdarzeniach z województwa, a także bibliografię Lubelszczyzny za rok 1963. Dlaczego nie za 1964?

◆ Zasłużona dla województwa biblioteka im. Łopacińskiego rozporządzeniem prezesa Rady Ministrów uzyskała rangę biblioteki naukowej. Ma ona ok. 250 tys. tomów, w tym wiele starodruków i innych rzadkich pozycji.

◆ Jak co roku, w Zamościu przebywała na praktyce grupa studentów krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych. Na zakończenie studenci wystawili swoje obrazy w Wydziale Kultury Prez. MRN i w fabryce mebli.

RZESZÓW

◆ W 70 rocznicę powstania ruchu ludowego odbyła się w Łańcucie sesja popularno-naukowa z udziałem przedstawicieli centralnych władz ZSL. Z tej okazji biblioteki powiatowa i miejska zorganizowały wystawę książek, obrazujących rozwój ruchu ludowego. Po zakończeniu wystawy książki będzie można kupić.

◆ Korespondencyjny Klub Młodych przy ZW ZMW ogłosił konkurs na utwory poetyckie i prozę (opowiadania, eseje, felietony, reportaże literackie, artykuły publicystyczne). Ale tylko dla osób, których prace nie były publikowane w prasie, radio lub telewizji. Termin nadsyłania utworów do 15 września.

◆ Na zlecenie konserwatora wojewódzkiego studenci z Uniwersytetu Jagiellońskiego prowadzą badania archeologiczno-architektoniczne w zabytkowym pałacu w Krasiczynie. Grupą kieruje mgr Antoni Kunysz.

◆ Zamek w Baranowie jest jedynym obiektem z województwa, który został zaliczony do grupy „O" zabytków. A więc do tej samej, co Wawel czy ratusz w Poznaniu i Wrocławiu. Takich obiektów jest w Polsce tylko 50.

◆ Pow. Dom Kultury w Lubaczowie (woj. rzeszowskie) i PDK w Biłgoraju (woj. lubelskie) są bardzo zaprzyjaźnione. Po wymianie imprez artystycznych w kwietniu i w czerwcu odbędzie się spotkanie działaczy kulturalnych z obu powiatów.

Kamena

Dwutygodnik społeczno-kulturalny. Redaguje Kolegium: Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mikulski, Jerzy Pieśniarowicz, Stefan Wolski. Wydawca: Oddział Lubelski Związku Literatów Polskich. Adres redakcji i administracji: Lublin, ul. Graniczna 7, Telefon 2-34-43. Redakcja rękopisów nie odsyła. Warunki prenumeraty: kwart. zł 12, półroczne zł 24, rocznie zł 48. Zamówienia i przedpłaty przyjmują wszystkie urzędy pocztowe i listonosze. Instytucje i zakłady pracy mające siedzibę w miejscowościach, w których są Oddziały i Delegatury „Ruchu", zamawiają prenumeratę w miejscowych Oddziałach i Delegaturach „Ruchu". Prenumerata przyjmowana jest od 1 do 15 dnia miesiąca poprzedzającego okres, na który dokonywa się przedpłaty. Prenumerata za granicą: kwartalnie zł 16,80; półrocznie zł 36,40; rocznie zł 72,80. Zamówienia i wpłaty przyjmuje PKWZ „Ruch", Warszawa, ul. Wronia 23. Nr konta PKO 1-6-100024 oraz „Ruch" Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN Lublin — Unieka 4.

Zam. 2655 5.VIII.65 H-1

Czas. 11049/32/15

Odpowiedzi Redakcji

G. S. w Starachowicach. Damy debiut, ale musi Pan trochę poczekać.

T. S. w Gorzowie i E. S. w Gorlicach. Z nadesłanych fraszek nie skorzystamy.

E. Zub., J. K. i Z. K. w Jagielle. Niestety, nie do druku.

W. A. D. w Ostrowcu Świętokrzyskim. Stosunkowo najlepszy utwór — „Czas przypływu", ale też jeszcze nie do druku.

J. K. w Chrabkowie. Ta — jak Pan pisze — bazgranina nie ma żadnej wartości.

„Zetka" z pow. chełmskiego. W niektórych utworach są okruchy poezji, ale musi Pan przede wszystkim popracować nad... ortografią.

M. T. Poprawiony poemat „Z legendą przez Lublin" w dalszym ciągu nie ma wartości literackich.

B. W. w Gdyni. Zatrzymujemy fraszkę „O hulaniu".

H. C. w Krzywostoku i A. K. M. Bardzo słabe.

K. B. w Białymstoku. Na festiwalu w Opolu były może i gorsze teksty, ale Pana utwór jest bez... nut.

T. B. G. w Łodzi. Zamieścimy „Faszyzm". Prosimy o podanie nazwiska — nie możemy odczytać.

Seer w Lublinie. Temat bardzo by nam odpowiadał, ale nadesłane wiersze — słabiutkie.

T. B. w Lublinie. Z Pana fraszek: „Chroń mnie, Boże, przed teściową, jak przed bombą atomową", „Jeżeliby spokój znudził się komu, niech zamieszka z teściową w jednym domu", „Ze świecą nie znajdziesz teściowej życzliwej, tak i trudno znaleźć dziś panny cnotliwej". Ejże, aż ze świecą? Pan chyba nie ma dzieci...

S. B. w Poznaniu. Chętnie zamieścimy, prosimy jednak o większy wybór.

T. S. w Bielawie. Już raz odpowiadaliśmy Panu na łamach „Kameny". Nie skorzystamy.

A. T. w Warszawie. Niezłe. Zatrzymujemy.

J. R. w Kazimierzy Wielkiej. Zatrzymujemy na debiut „Ludzie mówią".

A. K. w Polanicy. Zatrzymujemy fraszki: „Przyczyny" i „...Zachodzą i w życiu".

J. K. w Starachowicach. Fraszki słabiutkie. Najlepsze „Chody", ale temat zbyt ograny.

„Norget" w Radomiu. Nie skorzystamy.

Mar w Zamościu. Po raz drugi przysłał Pan wiersz, który już raz odrzuciliśmy. Prosimy o fraszki.

*

Autorów, przesyłających wiersze do oceny, zwłaszcza tych, którzy jeszcze nie drukowali, prosimy o podawanie krótkich danych biograficznych.

KAZIMIERZ ŁOJAN

ROZMAITOŚCI

Tupet — powiedzieć ekspedientce w CDT: — Proszę mi podać parę elastycznych skarpet!

Podobno stale rośniemy. To symptomy zacofania. Gdyby choć połowę ludności naszego kraju — stanowiły krasnoludki, ileż problemów byłoby nieaktualnych!

Lubelszczyzna to kopalnia tematów. Zbyt wielu jednak czeka na kartę górnika.

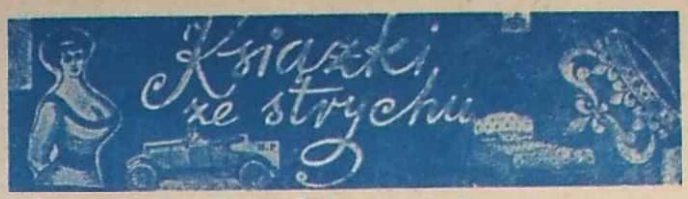

„Indianola"

W OKRESIE dwudziestolecia międzywojennego ukazywały się często na rynku księgarskim małe, szesnastostronicowe zeszyciki zawierające teksty rzekomo najpopularniejszych piosenek sezonu. Wydawaniem tych przebojów zajmowała się Księgarnia P. Dąbrowskiego w Warszawie przy ulicy Siennej 5/7. Nakładem tej Księgarni wyszedł (bez roku wyd.) 66 zeszyt noszący tytuł „Indianola", który zawierał osiem poetyckich „arcydzieł". Oto fragmenty:

„Czarna pantera" kochankiem jest
Pięknej indianki cnej,
Przeszedł miłości krwawy chrzest,
Oddał swe serce jej.

. . . . . .

Raz Indianolę pokochał pan,
Zdradny wyznawca kast,
Poszła z nim w dziki, zawrotny tan,
W tan gwarnych stolic i miast.
Zdrada pomszczona jednak ma być,
Obca jest litość i żal,
Przerwał „Pantera" życia jej nić,
W nurtach bałwanów i fal,
Poszedł w nieznaną, samotną dal."

(str. 2—3)

Wydawca informował, że jest to... bardzo piękny i „popularny foxtrott, muzyka D. Onivasa"! Posłuchajmy dalej:

„Pokochałem raz dziewczynę
Jasne włoski, czarne oczy
Był to okaz niebywały
Był to istny cud uroczy
Lecz za bardzo mnie skusiły
Loki jej jedwabne, złote,
więc zabrałem u „niewinnej"
Tak u panien drogą cnotę.
Lecz została mi pamiątka
Po „cnotliwej tej dziewicy",
Co to była za pamiątka
Niech zostanie w tajemnicy".

(„TAJEMNICE" str. 14)

„Urocza panna Nelli
Ma don-juanów moc
I z każdym z wielbicieli
Flirtuje dzień i noc.
A dzisiaj od tych gości
Podobno dziś tam ma
Pamiątkę ich miłości
Co życiem, werwą drga.
A jak? a gdzie? a kto? a z kim?
Pocóż zaraz itd.".

(„CIEKAWOŚĆ" str. 16)

A Grochowiak narzeka na współczesną piosenkę! Chociaż „Indianolą" nie pocieszajmy się!

Nadesłał: Longin J. Okoń

Zwierzyniec literacki

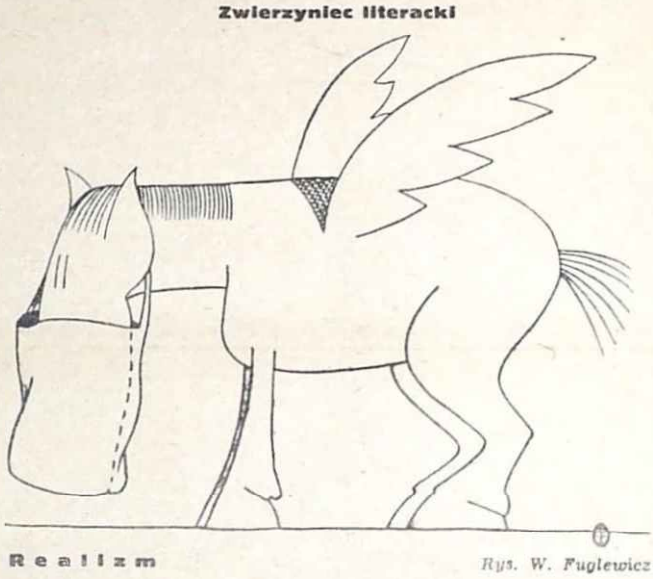

Realizm

Rys. W. Fuglewicz

NOTY

„DOBRZE O NAS MÓWILI". W 1958 r-rze „Przekroju" w korespondencji własnej tygodnika: „Wyprawa do Santo Domingo" czytamy: „leciałem jak by się było do obcego kraju", „odlot pełen był dla mnie wspomnień o... państwie Johnson". W pierwszej chwili sądziłem, że to ironiczne potraktowanie USA (państwo to ja), z dalszego tekstu jasno jednak wynika, że mowa o panu i pani Johnson, a więc o państwu Johnson. Ze zdziwieniem dowiedziałem się również z pro-sin autora („przepraszam za nadmiar imiesłowów biernych"), że w zdaniu „wysiedliszy z samolotu na lotnisko San Juan i udawszy się..." imiesłowy przysłówkowe zaprzeszłe są „bierne" (sic!) — tak jakby czasowniki — wyjść i udać się mogły być użyte w passivum!

A MOŻE ŁAZUKI? Z artykułu Adama Maldisa „Literackie kontakty: Białoruś — Polska" („Życie Literackie" nr 30) dowiadujemy się o „liryce Piotra Brovki, który w czerwcu br. obchodził swoje 60-lecie". Oczywiście chodzi o poetę Piotra Browkę!

„TATRY NIE SĄ W CZECHACH", jak słusznie stwierdza artykuł doc. J. Tomaszewskiego pod tym tytułem w „Polityce", artykuł, który pociągnął za sobą wypowiedzi prof. H. Batowskiego, prof. R. Gerbera i prof. S. Arnolda w ostatnich numerach tego pisma. Ale jeśli umieszczanie Tatr w Czechach wypływa z nieznajomości historii i geografii, to używany niemal powszechnie w prasie, radiu i TV dziwoląg „Czechosłowak" kłóci się z logiką i sensem (od głowy do pasa Czech, a od pasa do nóg Słowak czy na odwrót). Przed pierwszą wojną światową istniała wprawdzie monarchia Austro-Węgry, ale nie było Austrowęgrów. Ja przynajmniej nie słyszałem tego określenia.

SYMPATYCZNY ORGAN M. Malcherka „Wykrzykniki" („Współczesność") zauważył w „Kamenie" „garść przedziwnych impresji" Stypułkowskiego na temat alkoholizmu. „Wykrzykniki" proponują, aby recenzji z tej pracy dokonał jakiś działacz Komitetu Alkoholowego. Szkoda, jednak, że „Wykrzykniki" nie zauważyły, iż owa „garść przedziwnych impresji" ukazała się na tej samej kolumnie „Kameny", na której znajduje się reportaż z zakładu leczniczego dla alkoholików. To połączenie ma swoją wymowę. A swoją drogą po „Kamenie" reportaż na identyczny temat drukuje „Dookoła świata". Jeszcze jedno ostrzeżenie...

„KURIER LUBELSKI" drukuje wyjaśnienie „Orbisu" na temat tego, iż kuszetki to nie sleeping. Chodziło o pretensje podróżnych skarżących się na to, że nie ma osobnych przedziałów dla kobiet i osobnych dla mężczyzn („bo jakże tu można spać spokojnie, gdy w jednym przedziale ulokowano dwie pary odmiennej płci"). W ZSRR jest rzeczą zupełnie normalną, że wagony sypialne są koedukacyjne. Może u nas są za małe odległości i stąd ów niepokój?

„ŻYWOCIK LITERACKI" w 33 n-rze „Życia" zajął się wyłącznie krytykowaniem letnich niedostatków Krakowa. Gdybyśmy zechcieli w podobny sposób potraktować Lublin, musielibyśmy prosić o powiększenie objętości „Kameny"...

W zastępstwie:

MAJ

TADEUSZ MULTAŃSKI

Z cyklu: Chłapkowice? Nie — Ząbki Górne

Izba wytrzeźwień

PEWNEGO dnia prezes Łupka na zebraniu ogólnogromadzkim rzucił projekt wybudowania w Ząbkach Górnych gromadzkiej izby wytrzeźwień.

— Będzie ona pierwszą izbą gromadzką w skali ogólnokrajowej, co niewątpliwie będzie rzutowało na naszą gromadę. Nie potrzebuję chyba dodawać, że nie będziemy musieli spędzać nocy w przepełnionej izbie powiatowej albo na posterunku MO, a u nas wygodnie wśród świergotu ptaszął, cykania świerszczyków oraz kumkania żab. Wpłynie to niewątpliwie na samopoczucie zamroczonych.

— A my, stroskane baby — krzyknęła Wąsikowa — będziemy miały spokojne noce!

— Zatrudnimy doktora chorób wewnętrznych, ze dwóch specjalistów od chorób nerek i wątroby oraz paru wykwalifikowanych pielęgniarzy.

Były jednak głosy, które nieśmiało pozwoliły sobie zauważyć, że pewno skończy się na słomianym zapale, jak to dawniej bywało przy innych okazjach. Ale inni zaprzeczyli gorąco. I w istocie: nie skończyło się!

Gromadzka izba wytrzeźwień w ramach czynu społecznego przy poparciu czynników administracyjnych rosła jak na drożdżach. Piętrowy budynek składał się z kilkunastu dwuosobowych pokoików bez żadnych kantów, żeby pijak przypadkiem nie nabił sobie guza. Niebawem pojawiły się w oknach szyby z nietłukącego szkła, na parterze zaś zainstalowano natryski oraz bufet, który został zaopatrzony w zsiadłe mleko, kwas ogórkowy oraz sodę oczyszczaną. Gabinet lekarski został wyposażony w komplet sond żołądkowych.

Wreszcie nastąpił uroczysty moment otwarcia obiektu. Po części oficjalnej, na którą zeszła się cała wieś, nastąpiła część nieoficjalna:

a) dla zaproszonych gości,

b) dla wszystkich.

Po kilku godzinach pierwszy wkroczył do gromadzkiej izby wytrzeźwień dumnym, aczkolwiek chwiejnym krokiem prezes Łupka, który został powitany przez personel chlebem i solą oraz kieliszkiem czystej wyborowej.

Czapki-niewidki

WSPOŁECZENSTWIE naszej gromady mamy wiele wybitnych jednostek, które wyróżniają się wśród ogółu. Między nimi wybija się niewątpliwie Józef Groszek, chłop gospodarujący wprawdzie indywidualnie ale zdolny racjonalizator-wynalazca. Onże ostatnio na zebraniu gromadzkim oświadczył, że sporządził z materiałów ubocznych tuzin czapek-niewidek.

Każda z czapek solidnie wykonana, chociaż niewidoczna, według oświadczenia wynalazcy miała tę zaletę, że założona na głowę czyniła całą postać niewidoczną dla otoczenia oraz dla najbliższej rodziny. Dla poparcia tego twierdzenia Groszek włożył na głowę jedną z czapek i — w istocie — znikł zebranym z oczu. Znikł tak dokładnie, że chociaż co chwilę wołał „akuku", zebrani szukali go przez trzy dni i nie znaleźli dopóki nie wytrzeźwiał i nie zdjął czapki z głowy.

Wielu z zebranych wyraziło chęć zakupienia dla siebie czapki-niewidki, a jako jeden z pierwszych uczynił to przewodniczący geerenu ob. Cisiołek:

— Przydałaby mi się ona bardzo zwłaszcza wtedy, kiedy zjawi się ktoś z organów powiatowych po linii kontroli.

Sklepowy Przysiadek niedwuznacznie dał do zrozumienia, że czapka-niewidka jest dla niego wprost nieodzowna, gdyż spodziewa się w najbliższym czasie ścisłego remanentu.

Wielu jeszcze innych luminarzy naszej gromady chciało nabyć wymienione czapki, ale ich wynalazca kategorycznie odmówił:

— W najbliższym czasie przekażę je zupełnie bezpłatnie pewnym wybranym przez siebie osobom.

Przez dłuższy czas wszyscy bezskutecznie domyślali się, na kogo padł wybór. Jeden podejrzewał drugiego, lecz każdy twierdził, że nie on jest wybranym. Dopiero w ostatnią niedzielę sprawa wyjaśniła się dzięki temu, że kierownik szkoły zwołał zebranie członków społecznego komitetu budowy szkoły w Ząbkach Górnych.

I oto okazało się, że czapki-niewidki otrzymali członkowie tegoż komitetu. Żadnego z nich nie było widać na zebraniu.